

Podane niżej nazwy plemion należy wpisać w krzyżówkę tak, aby dopasować liczbę liter danej nazwy do liczby kretek (patrz przykład). Nazwy Arapaho i Kickapoo występują dwukrotnie. Litery z numerowanymi kretkami, czytane kolejno, utworzą rozwiązanie - hasło, które należy przesłać pod adresem Wiesława Karnalala, Dębrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Palędzic. Wśród prawidłowych odpowiedzi Niedźwiadek rozlosuje trzy ciekawe nagrody-niuspodzianki.

KAW

Wyrazy ● 3-literowe: AIS, ENO, FOX, HOH, OTO, UTE, YUI; ● 4-literowe: ADAI, CREE, CROW, ERIE, HUPA, HOPI, IOWA, MONO, PIMA, POMO, SAUK, SKIN, TĒWA, YANA, YUMA; ● 5-literowe: ALEUT, ALSEA, CONHO, CORCE, GUALE, HAIUA, HOLMA, KAMIA, KANGA, KAROK, STALO, KIUNA, LIPAN, LOHIM, LUAMI, MAIDU, WAKAH, WILUK, WIMOK, WOODC, NISKA, OWAIA, OSAGE, PECOS, PEDEE, PONCA, TWAHA, WASCO, WASHO, YUROK; ● 6-literowe: AHNAKI, ACUERA, AHIENA, APACHE, AYSINA, AVOYEL, BILOXI, CAYUSE, COCOPA, EYEISHI, ICAFUT, LASSIK, MANDAN, MICHAC, NAUSET, NAWAHO, NIMPUK, NOOTKA, OCOHEE, PAIUTE, POTANO, PUEBLO, SALISH, SAMISHI, SANTEE, SAPONI, SKAGIT, SPOKAN, SUTAHO, TAENSA, TEHINO, TUNICA, TUTELO, YSCANI; ● 7-literowe: ARAPAHO, ARICARA, ATAPAPA, CHINOOK, CHUMASH, HIDAISA, KODASAI, KODYUKUN, KUJENAI, LATGAWA, MATTOLE, MOHEGAN, MURATOK, NANAIMO, NAWICHI, NIANTIC, NONCATI, PALOISE, SANPOIL, SANTIAM, SAWOKLI, SHAWNEE, WALAPAI, WANAPAH, TAKELMA, TRANYIK; ● 8-literowe: ALLIKLIK, CHEROKEE, CHEYENNE, CHIPPEWA, COLUMBIA, COMANCHE, IBITOUPA, HITCHITI, ILLINOIS, IROQUOIS, KICKAPOO, KWAKWUTL, MALECITE, NEZPERCE, UPELOUSA, SEMINOLE, TAWACINI; ● 9-literowe: CHILCOTIN, MENOMINEE, QUAIATIKA, TUSCARORA, WINNEBAGO; ● 10-literowe: ACCAPISSA, ASSINIBOIN; ● 11-literowe: SUSQUEHANNA; ● 12-literowe: APALACHICOLA...



JESIEN 1991 * NR 17

TAWACINI

PISMO PRZYJACIÓŁ INDIAN



© Keith Ball / Oklahoma City

Składanie każdego nowego numeru TAWACINU uświadamia nam ogrom pracy, jakiej się podjęliśmy. Ujawnia się potrzeba olbrzymiej dyscypliny wewnętrznej, chęci współdziałania na rzecz pisma, a powściągnięcia własnych ambicji. Zdajemy sobie sprawę, że w jakiś sposób kształtujemy wiedzę naszych Czytelników o Indianach. Chcielibyśmy jednak naprawdę poznać Waszą opinię o piśmie, Wasze propozycje, uwagi itd. Bez Waszej reakcji na kolejne numery TAWACIN będzie pismem martwym, ciągle niepewnym, nie wiadomo do kogo adresowanym. Stąd prosimy, napiszcie pod którykolwiek adres niżej podany. Wasze listy pozwolą nam szybciej określić charakter TAWACINU. Dziękujemy p. Jerzemu Toiłowiczowi z Białegostoku za list, którego fragmenty publikujemy.

Rozwój wydarzeń w indiańskim świecie skłania nas do poważnego zastanowienia się nad istotą naszego zainteresowania. Pojawiają się konkretne propozycje (patrz str. 46), na które musimy dać konkretne odpowiedzi. Szanse mamy ogromne, jeśli ich teraz nie wykorzystamy - to bardzo wiele stracimy. Znowu jednak dużo zależy od chęci współpracy ze strony innych ludzi. Ruch indiański w Polsce naprawdę nie może się opierać na paru osobach, które są do wszystkiego. Każdy z Czytelników tego pisma może się przysłużyć indiańskiej sprawie. Zatem zapraszamy.

Na czas Świąt życzymy naszym Czytelnikom ducha wspólnoty, harmonii z bliskimi i Ziemią, na której żyjemy.

Redaktor



TAWACIN redagują:

Roman Bala Iwanowice Duże 95 42-152 Opatów (Ameryka Pd.)	Wiesław Karnabal Dąbrowa, ul. Szkolna 9 62-069 Pałędzie (etnografia, sztuka)	Wiesław Koleczek ul. Norwida 5B/9 83-400 Kościerzyna (historia)	Marek Maciołek ul. Łąkowa 3 64-050 Wielichowo (literatura, kultura)	Marek Nowocień ul. Głowackiego 1B/18 57-200 Ząbkowice Śl. (współczesność)
---	---	--	--	--

W NUMERZE m. in.

- o ruchach religijnych Amerykańskich Indian, druga część artykułu Ewy Nowickiej4-10
- o VII Europejskim Spotkaniu Grup Poparcia Indian w Stadtrodzie ...12-16
- o współczesnych Czipewejach; ich corocznych problemach z połowami ryb i uroczystych spotkaniach zwanych pow-wow17-19
- jak wykonać wielkie torby Indian z Północnych Równin20-22
- o występującym w Polsce indiańskim zespole tanecznym GREAT AMERICAN INDIAN DANCERS24-25
- o wyświetlanym w naszej telewizji filmie SYN GWIAZDY PORANNEJ i o Szejenkach zakochanych w gen. Custerze26-29
- o Świętych Biegach w Związku Radzieckim i Kanadzie32-40
- o wizycie w Polsce Bobby'ego Castillo, członka AIM i działacza Komitetu Obrony Leonarda Peltiera...41

* * * * *

NA OKŁADCE: Dennis Zotigh - kierownik zespołu GREAT AMERICAN INDIAN DANCERS i Shoshana Wasserman - kierownik artystyczny. Fot. Keith Ball.

WYDAWCA TAWACINU: Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian, skr.poczt.4 15-472 Białystok 21.

DRUK: Zakład Usług Poligraficznych "RA" Adam Rogacki, ul. Czereśniowa 10, Kalisz.

DZIĘKUJEMY za pomoc przy tworzeniu TAWACINU: Arturowi Bloch, Markowi Cichomskiemu, Jackowi Hałasikowi, Urszuli Kubali, Joasi Mińskiej, Karolowi Klepackiemu, Adamowi Rogackiemu, Jankowi Rzakowskiemu i firmie "Budopoz" z Poznania.

DZIĘKUJEMY również Januszowi Mieczkowskiemu, Stanisławowi Mozole i Grzegorzowi Pańnikowi za nadesłane materiały oraz Mirkowi Sulgostowskiemu, którego rysunki humorystyczne zawsze zdobią TAWACIN.

GEOS INDIANINA

Wyznanie wiary

Cele

1. Wierzmy w nieodłączne prawo wszystkich ludzi do zachowania duchowych i kulturowych wartości i że swobodna realizacja tych wartości jest niezbędną dla normalnego rozwoju każdego ludu. Indianie realizowali to naturalne prawo do życia własnym życiem przez tysiące lat, zanim biali ludzie przyszli i zabrali im ziemię. Oziś Indianie żyją w świecie bardziej skomplikowanym. Jednakże Indianie, którzy jako pierwsi zaludnili Nowy Świat i zbudowali wielką cywilizację, którą się dopiero teraz wydobywa z przeszłości, od dawna wykazywali, że umieją żyć w społeczeństwach o wysokiej złożoności.

2. Wierzmy, że historia i rozwój Ameryki pokazuje, iż Indianie byli poddani przymusowi, duszącą władzy, nieusprawiedliwionej presji i niszczytelnej polityce, która w efekcie dała niepewność, frustrację i rozpacz. Dopiero wtedy, gdy szerokie rzesze rozumieją te warunki, zaczynają działać w kierunku sformułowania i przyjęcia zdrowej i konsekwentnej polityki, programu działania, te niszczące czynniki zostaną usunięte, a Indianie będą mogli wnieść swój największy wkład do rozwoju nowoczesnego społeczeństwa.

3. Wierzmy, że nadejdzie kiedyś czas wielkiej Ameryki, którą jako pierwsi kochaliśmy, czas, kiedy życie, swoboda, i dążenie do szczęścia stanie się rzeczywistością. W takiej przyszłości między Indianami i wszystkimi innymi Amerykanami współdziałającymi ze sobą wytworzy się klimat kulturowy, w którym lud indiański wzrośnie w siłę i będzie się rozwijał w roli członków wolnego społeczeństwa.

My, większość ludu indiańskiego Stanów Zjednoczonych Ameryki przez zgodę równych sobie części, mających naturalne prawo do samorządu i posiadających takie samo prawo do suwerenności i do wygłaszania opinii i pragnień przedstawiamy nasze przekonania: dlatego to należy uznać pewne zasady, które są podstawą życia Indian.

My, lud indiański, musimy się rzucić zasadami demokratycznymi i prawem wyboru naszego sposobu życia. Ponieważ nasza kultura indiańska jest zagrożona przez założenie, że zostanie wchłonięta przez społeczeństwo amerykańskie, mamy przekonanie, że na nas spoczywa odpowiedzialność zachowania naszego cennego dziedzictwa, choć uznajemy, że pewne zmiany są nieuchronne.

Sądymy, że Indianie muszą wypracować sposób przystosowania i tą drogą zmierzać swobodnie do postępu i lepszego życia. Dla osiągnięcia głównych celów naszego wyznania wiary, przyjętego na tej konferencji, lud indiański tu zebrany przyjmuje powyższe jako oficjalny dokument, opatrując go datą: 19 czerwca 1961 roku.

* Jest to fragment "Deklaracji indiańskich celów", jaką przyjęli młodzi Indianie zebrani na konferencji w Chicago w dn. 13-20 czerwca 1961 r.

Tekst ten zaczerpnięto z antologii "Indianie Stanów Zjednoczonych" oprac. przez Ewę Nowicką i Izabellę Rusinową. Warszawa 1991, s. 245-246.

Książka długo wyczekiwana i niezmiernie potrzebna. Zawiera wybór przemówień, dokumentów i tekstów źródłowych, które przydadzą się każdemu, kto interesuje się historią i jej wpływem na współczesną sytuację Indian w USA. Zapowiadając recenzję w następnym numerze, zachęcamy do nabycia tej cennej, bardzo dobrze wydanej książki, choć dostępnej prawie wyłącznie w księgarniach naukowych (patrz też ogłoszenia na końcu numeru).

- Marek Maciołek

SPOŁECZNE UWARUNKOWANIE TREŚCI MORALNYCH

Zadziwiające podobieństwo etycznych treści wyrażanych w synkretycznych ruchach religijnych Indian Amerykańskich można najlepiej wytłumaczyć społeczną sytuacją Indian w ciągu ostatnich 200 lat. Ruchy te pojawiały się w pewnej fazie podboju, w czasach gwałtownej destrukcji tradycyjnego życia społecznego i politycznej niezależności plemion indiańskich. Znamienne jest, że razem z postępującym podbojem Zachodu przez białych, nowe grupy plemion podlegały tym samym przemianom. Odzwierciedla to pojawianie się etycznych doktryn początkowo na Wschodzie, a potem stopniowo coraz bardziej na Zachód. Taką sytuację społeczną można było zaobserwować w społeczności irokoskiej już pod koniec XVIII w., podczas gdy na Północnym Zachodzie i na Równinach – dopiero w drugiej połowie XIX w. Etyczne doktryny ruchów powinny być traktowane jako reakcja obronna i samozachowawcza społeczności indiańskich i ich plemiennych kultur. Była to reakcja twórcza, prowadząca do wyraźnej adaptacji do życia w społeczeństwie amerykańskim.

W badaniach doktryn religijnych podstawowe znaczenie mają trzy rodzaje norm moralnych. Można je zdefiniować na podstawie rodzajów zjawisk, do których się odnoszą, jako:

- 1) normy kształtujące idealny typ osobowości i nakazujące rozwój cnót doskonałych;
- 2) normy kierujące postawą wobec tradycyjnej kultury indiańskiej;
- 3) normy regulujące stosunki z obcymi, tj. z nie-Indianami.

Podmiotowy charakter tych norm moralnych decyduje o tym, że najbardziej adekwatne wydaje się funkcjonalne ich wyjaśnienie. Podbijane społeczności indiańskie musiały stanąć wobec:

- a) problemów wynikających z dezorganizacji życia jednostki;
- b) problemów związanych z potrzebą wyrażania słowami stanowiska wobec zapomnianej, lub przynajmniej znacznie zmienionej, tradycji;
- c) problemów związanych ze wzrostem liczebnej przewagi ludności nie-indiańskiej.

Normy moralne w ruchach indiańskich można zatem podzielić na: perfekcjonistyczne, prужające szczęście i regulujące stosunki z innymi ludźmi. Poszczególne grupy norm będą rozpatrywane z perspektywy ich związków z sytuacją socjo-kulturową, w której się rozwinęły.

NORMY PERFEKCYONISTYCZNE

We wszystkich, przedstawionych dotychczas, doktrynach występuje kategorię zakaz picia alkoholu. Ponadto Szakeryzm wyklucza także używanie tytoniu i uprawianie gier hazardowych. Reguły te odgrywały bardzo ważną rolę, jako że alkoholizm stanowił plagę społeczną Indian, rujnąjącą życie rodzin i szerszych zbiorowości oraz prowadzącą do całkowitej demoralizacji. Przed przybyciem Europejczyków Indianie nie znali czystego alkoholu. Nie mieli więc kulturowo wykształconych wzorców jego spożywania. Ponadto ich organizmy były szczególnie podatne na uzależnienie. Biali, począwszy od pierwszych kontaktów z Indianami, robili często użytek z tego faktu, aby wymusić zgodę Indian lub omamić ich i nakłonić do rezygnacji ze swojej ziemi. Alkohol używano rozmyślnie jako środka służącego do rozluźnienia kodeksu moralnego Indian i osłabienia ich woli. W późniejszych kontaktach podejmowano próby mające na celu powstrzymanie rozprzestrzeniania się alkoholizmu i jego zgubnych dla życia Indian skutków.

Zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w rezerwach prowadził zwykle do rozkwitu jego nielegalnej produkcji i sprzedaży. Normy moralne, skierowane przeciwko piciu alkoholu, miały istotne znaczenie tym bardziej, że zostały umocnione poprzez możliwość sankcji religijnych. W rezultacie wpływ Pejotyizmu, Szakeryzmu i religii Handsome Lake'a spowodował obniżenie się skali i zasięgu nałogu, przynajmniej w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci. Zakaz uprawiania gier hazardowych, szczególnie popularnych na Północnym Zachodzie (wyścigi konne) miał podobny sens moralny – przywrócenie stabilizacji życia jednostki. W wymienionych doktrynach religijnych wszystkie tego rodzaju zakazy są blisko związane z nakazem odpowiedzialności za życie własne i rodziny.

Wyniszczenie zwierzyny (zwłaszcza bizonów) i wyparcie Indian z ich terenów łowieckich, zakończone zamknięciem ich w rezerwach, pozbawiło plemiona ekonomicznych podstaw życia i uczyniło je prawie całkowicie uzależnionymi od władz amerykańskich. W zamian za ogromne obszary, stanowiące ekonomiczne zabezpieczenie indiańskich plemion, rząd federalny zaoferował Indianom pomoc w dostawach żywności, odzieży i sprzętu gospodarstwa domowego. Bez wsparcia ze strony tradycyjnej gospodarki, lub gospodarki rolniczej, do której nie mogli się przystosować, Indianie stali się żebrakami; żyjącymi z łaski białych w przygnębiającej atmosferze rezerwatów. Utracili oni poczucie plemiennej godności, niezależności i odpowiedzialności za swój los.

Cnota ciężkiej pracy i niezależność w zabezpieczeniu bytu sobie i swojej rodzinie – na które tak bardzo kładł nacisk zarówno kult Proroka Handsome Lake'a, jak i Pejotyizm – były niewątpliwie reakcją na ekonomiczne uzależnienie od białych. W gruncie rzeczy zmiana postawy wobec swojego własnego życia była warunkiem koniecznym do odbudowania integralności społeczności indiańskich. Pejotyizm kieruje uwagę na pokonywanie uczucia wątpliwości i utraty wszystkich celów w życiu. Droga do osiągnięcia tego jest podnoszenie statusu ekonomicznego. Zwolennicy doktryny muszą być przede wszystkim odpowiedzialni za życie i zdrowie własne oraz swojej rodziny. Mniej lub bardziej uświadomiona niezależność finansowa od białych zalecana jest jako podstawa poczucia wspólnoty plemiennej, lub nawet jako źródło ponadplemiennej dumy i wartości jednostki.

Wszystkie przedstawione ruchy religijne posiadają charakterystyczną atmosferę odnowy moralnej, ścisłość kodeksów moralnych i ogólną ich surowość. Kodeksy kładą nacisk na duchową czystość, trzymanie się etycznych wartości i moralną introspekcję. Aby zrozumieć analizowane elementy, pomocnym byłoby zbadanie motywów tych osób, które stały się zwolennikami tych doktryn i biografii tak przywódców, jak i wyznawców. Jednym z ważnych motywów, prowadzących do przyłączania się do jednego z synkretycznych ruchów religijnych, jest krańcowe poczucie winy i gotowość do poniesienia kary za popełnione grzechy. Do podobnych wniosków prowadzi analiza biografii poszczególnych indiańskich przywódców religijnych. John Slocum, twórca Szakeryzmu, był nałogowym pijakiem i hazardowym graczem na wyścigach. Podczas wizji zobaczył swoje ciało w stanie rozkładu, co często interpretuje się jako znak silnego poczucia winy i agresji skierowanej przeciwko samemu sobie.

Wielu duchowych przywódców pejotystycznych (np. John Rave, Elk Hair, John Wilson) prowadziło burzliwe i nieuregulowane życie. Wiele z nich było handlarzami wódką, wędrownymi cyrkowcami, alkoholikami, ludźmi z marginesu społecznego, odseparowanymi od indiańskiej tradycji i nieprzystosowanymi do życia w kulturze białych. Poczucie upadku moralnego doprowadziło ich do stabilizacji, odnowy moralnej i reorganizacji życia. Wzór narodził nowego kultu jest niemal identyczny w przypadku każdego z prezentowanych ruchów. Wysoce zdemoralizowany

Indianin, poważnie chory, ma wizję, w której ukazuje mu się Bóg, Wielki Duch, lub inna nadprzyrodzona istota, przekazująca mu moralne nauki i nakazująca głosić wśród Indian nową religię. Natychmiast po objawieniu Indianin leczy się z choroby, zostaje prorokiem i przechodzi moralną odnowę. Jego nauki odwołują się do umysłów i serc innych Indian, których życie jest podobne - niezorganizowane i zepsute. W ten sposób, jedni Indianie - głosząc, a inni - akceptując nową doktrynę etyczno-religijną, odnajdują sposób na moralną odnowę i wzmocnienie swojego sposobu życia.

NORMY STOJĄCE NA STRAŻY WIĘZI SPOŁECZNYCH

Wiele norm i zaleceń, obecnych w synkretycznych doktrynach indiańskich ruchów religijnych, ma na celu rekonstrukcję starych więzi społecznych lub stworzenie nowych więzi, nieznanych w tradycyjnych indiańskich strukturach społecznych.

Więzi w rodzinie podstawowej

Zarówno zakaz picia alkoholu, uprawiania gier hazardowych, jak i wymóg ciężkiej pracy, oszczędności i odpowiedzialności, związane są z ochroną życia rodzinnego. Alkoholizm był częstym powodem rozpadu indiańskich rodzin. Normy potępiające stosunki pozamałżeńskie, nakaz opieki nad dziećmi i współmałżonkiem, jak i zalecanie modlitwy, miały na celu bezpośrednią ochronę wartości rodziny. Normy te odnoszą się raczej do rodzin małych, dwupokoleniowych, niż do rodzin tradycyjnych, rozgałęzionych, wielopokoleniowych. Nacisk kładziony na trwałe i poprawnie funkcjonowanie rodziny podstawowej jest rezultatem zniszczenia lub przynajmniej wypaczenia więzi istniejących w obrębie wielkiej rodziny i innych grup społecznych, opartych na stosunkach rodzinnych.

Warunki ekonomiczne i społeczne, zaistniałe po podboju, nie pozwoliły Indianom na odbudowanie więzi funkcjonujących na tej płaszczyźnie. Zmiany społeczne, zachodzące w społeczności tubylczej, sterowane były za pomocą decyzji politycznych rządu federalnego USA. W 1887 r. Kongres przyjął ustawę znaną jako ustawa Dawesa (Dawes Act) lub ustawa o powszechnym podziale ziemi (General Allotment Act), zgodnie z którą każdy Indianin miał otrzymać 160 akrów ziemi z plemiennego terytorium. Ziemia plemienna była dotąd własnością dużej grupy ludzi, w obrębie której istniały więzi rodzinne. Rzadko kiedy istnieli indywidualni, nominalni właściciele, a nawet, gdy takie przypadki się zdarzały, byli to zazwyczaj: najstarsza kobieta lub najstarszy mężczyzna plemienia lub klanu.

Kiedy ustawa Dawesa stała się faktem, ekonomiczne podstawy funkcjonowania wielkich rodzin, klanów i plemion przestały istnieć. Jediną jednostką społeczną i ekonomiczną, która mogła i musiała przetrwać, by zapobiec całkowitej dezorganizacji życia, była rodzina podstawowa. Wraz z utratą podstaw ekonomicznych straciły swoje znaczenie grupy krewniacze. W tych warunkach jednostka mogła szukać wsparcia jedynie w obrębie rodziny dwupokoleniowej. Ignorując inne powiązania rodzinne, amerykańskie ustawodawstwo sprzyjało takiej właśnie sytuacji.

Panindianizm

Spośród przedstawionych ruchów, jedynie religia Proroka Handsome Lake'a ograniczona jest do jednego plemienia, lub - bardziej precyzyjnie - do grupy plemion. Kiedy ruch ten powstawał, plemienne związki były szczególnie silne wśród Irokezów, którzy byli bogaci, dumni i zaniepokojeni rysującą się możliwością swojego upadku.

Nie dziwi więc, że Dobra Nowina podkreśla irokeski, plemienny charakter ruchu. Liderzy kultu mieli uzasadnione prawo uważać istnienie plemienia za ważny - lub nawet jedyny - sposób odrodzenia wielkości Indian, lub przynajmniej - zapobieżenia ich upadkowi.

Inne ruchy, takie jak Taniec Ducha, Szakeryzm i - szczególnie - pejotyzm - na różne sposoby podkreślają szersze więzi ponadplemienne, panindiańskie. Ustawa dzieląca ziemię plemienną między jednostki (ustawa Dawesa) naruszyła nie tylko więzi w obrębie klanów i rodzin wielopokoleniowych, ale także te wewnątrz plemion. Kiedy złamano zasadę plemienną własności ziemi, plemiona przestały pełnić rolę odrębnych jednostek ekonomicznych.

Na powstanie więzi panindiańskich miało wpływ wiele różnych, wzajemnie ze sobą powiązanych czynników. Należały do nich: obecność białych, prowadząca do wykształcenia się wśród Indian świadomości własnej odrębności etycznej, podobne traktowanie indiańskich plemion najpierw przez władze kolonialne, a potem - federalne i stanowe, mieszanie się wielu plemion we wspólnych rezerwach, szkołach i internatach, postęp oświaty wśród Indian i wzrost ich uczestnictwa w ogólnoamerykańskiej kulturze.

Rozwój transportu (koleje, drogi, poczta, itp.) i środków przekazu prowadził do powstawania nowych kontaktów i więzi między Indianami różnych plemion. Co więcej, postępował proces ujednolicenia niezwykle zróżnicowanych początkowo kultur indiańskich. Niektóre elementy kultury poszczególnych plemion, lub grup plemion, stawały się częścią kultury ogólnoindiańskiej i zyskiwały status symbolu "indiańskości". Należy do nich m.in. tradycyjny strój Indian Równin, a także - niektóre ich zwyczaje. W rezultacie określenie "indiański" nabrało dla Indian realnego znaczenia. Odtąd zaczęli oni myśleć o sobie nie tylko - a nawet nie głównie - jako o Nawahach, czy Siuksach, ale także jako o Indianach.

W świecie współczesnych Indian liczą się przede wszystkim więzi panindiańskie. Mogą one odegrać istotną rolę w dalszym rozwoju społecznym Indian i w procesie poszukiwania nowych form "indiańskości", które mogłyby zastąpić formy zniszczone przez podbój i kontakty międzykulturowe. Nacisk kładziony we wszystkich współczesnych religiach indiańskich na ich ponadplemienny charakter przyczynia się do umacniania ogólnoindiańskiej społeczności. Jest to jednocześnie symptom zmian (tych, które już nastąpiły i tych, które dopiero następują) w tożsamości Indian. W rezultacie, dla wielu Indian coraz ważniejsze staje się samookreślenie w kategoriach panindiańskich, a nie - plemiennych.

W Pejotyzmie występuje więź istniejąca między wszystkimi ludźmi. Jest to jednak wyższy poziom integracji nie tyle społecznej, co duchowej. Jest to sposób adaptacji Indian do pozycji rasowej i etnicznej mniejszości w społeczeństwie amerykańskim. To uniwersalistyczne podejście Pejotyzmu przejawia się w jego rytuałach. Wyznawcy modlą się za "tych, którzy zasiadają w Białym Domu", modlą się o pokój i szczęście całej ludzkości. Pozostałe religie indiańskie w dużo mniejszym stopniu troszczą się o tak dalekosiężne związki społeczne.

Wszystkie omawiane ruchy uznawane są przez ich wyznawców za religie indiańskie - stworzone przez i dla Indian, zesłane Indianom przez Boga w celu ich duchowego wzmocnienia i poparcia. Analogicznie, biali mają swoje Chrześcijaństwo, odpowiadające ich sytuacji i potrzebom. Bóg chciał pomóc Indianom, bowiem ich los wywołał jego współczucie. Przekonanie takie odnosi się do wszystkich Indian, a nie do poszczególnych plemion. Każdy z ruchów uważany jest przez jego wyznawców za indiańską wersję Chrześcijaństwa - czasami za wersję szczególnie wartościową, autentyczną i prawdziwą.

POSTAWA WOBEC OBCYCH

Synkretyczne ruchy religijne zmierzają do reintegracji społeczności Indian za pomocą częściowej izolacji od obcych. Pojęcie "obcy" odnosi się przede wszystkim do Anglo-Amerykanów, ale także - szerzej - do rasy białej. Dobra Nowina Handsome Lake'a nie zezwala na małżeństwa mieszane, ani na udział białych w tradycyjnych obrzędach religijnych. Zakaz mieszanych małżeństw miał chronić Indian przed dziesiątkującymi ich chorobami wenerycznymi. Podobnie Wovoka, prorok Tańca Ducha, zakazał dostępu białych do podstaw nowej religii. Wierzył on, że więzi społeczne Indian można odrodzić jedynie w izolacji od białych.

W Pejotyzmie i Szakeryzmie rozdział ogranicza się do sfery religii. Co więcej, w Pejotyzmie tendencja do separacji jest do pewnego stopnia z natury eskapistyczna - poczucie niezależności od białych osiąga się podczas rytualnej konsumpcji pejotlu, co stwarza poczucie bezpieczeństwa i obojętności na bodźce świata zewnętrznego. Niektórzy wyznawcy przyznają, że po zjedzeniu pejotlu czują się dobrze, bo w swych wizjach mogą czuć się niezależni i obojętni w stosunku do białych, np. urzędników z agencji.

Tendencje izolacjonistyczne są, podobnie jak we wszystkich religiach i ruchach pół-świeckich, zastępowane przez próbę osiągnięcia częściowej, selektywnej autonomii kulturowej. Autonomia taka opiera się zawsze na co najmniej poprawnych stosunkach z obcymi. Już Taniec Ducha był z zasady pacyfistyczny i zalecał dobrosąsiedzkie stosunki z białymi. Inne ruchy synkretyczne Indian jeszcze silniej podkreślały konieczność pokojowej koegzystencji z białymi.

Indianie coraz częściej uświadamiają sobie, że tylko częste kontakty z białymi i ich kulturą mogą doprowadzić do odrodzenia - na nowych podstawach - indiańskiego społeczeństwa. Akceptacja przynajmniej niektórych elementów kultury anglo-amerykańskiej wydaje się być nieodzowna i korzystna. Przekonanie to jest odzwierciedlone w Pejotyzmie, w którym podkreśla się konieczność posyłania dzieci do szkół, której to idei Indianie sprzeciwiali się bardzo długo.

POSTAWA WOBEC INDIAŃSKICH TRADYCJI KULTURALNYCH

Normy moralne religii synkretycznych popierają niektóre elementy indiańskiej kultury, a odrzucają inne. Wśród tych ostatnich znajdowały się wojna i magia (z szamanizmem jako jej częścią). Wovoka potępiał wojnę w okresie, kiedy istniały jeszcze międzyplemienne spory i walki. Zaginięcie tradycyjnej wrogości międzyplemiennej sprzyjać miało integracji wszystkich Indian.

Odrzucenie szamanizmu, występujące w religii Handsome lake'a, Szakeryzmie i Pejotyzmie, miało podobne intencje. Szamanizm wpływał negatywnie na integralność indiańskich społeczności, pozostawiając miejsce na stałe podejrzenia o praktykowanie czarów, sprowadzanie chorób i magiczne morderstwa. Potencjalnie, każdy mógł być podejrzany o czary. Wierząco często, że szamani mogą zabijać swoich pacjentów. Podważało to zaufanie w rodzinie, klanie i plemieniu, nie wspominając już o większych społecznościach. Nawet ojciec i matka mogli być podejrzani o zabicie dzieci przy pomocy czarów.

W rezultacie odrzucenie zarówno wojny, jak i magii może być traktowane jako czynnik prowadzący do odrodzenia, lub nawet - wytworzenia się, solidarności wśród Indian i stworzenia silnego, jednolitego społeczeństwa, zdolnego do oparcia się naciskowi białych i zachowania własnej integralności i zdrowia moralnego.

Indianie nie mieli powodów, by ufać takim przedstawicielom społeczeństwa białych, jak misjonarze, urzędnicy federalni, czy

członkowie władz lokalnych. Dlatego odrodzenie zaufania wewnątrz ich własnej społeczności etnicznej miało wielkie znaczenie psychologiczne. Tylko w ten sposób społeczność indiańska mogła stać się pomocą i oparciem dla jednostki. Stare praktyki medyczne szamanizmu i magii zastąpiono świętym uzdrawianiem nowych religii. Zarówno pejotyizm, jak i Szakeryzm koncentrują się w swej obrzędowości na uzdrawianiu chorób psychicznych, a uzdrawianie jest najczęstszym celem religijnych zgromadzeń w tych dwóch najważniejszych religiach indiańskich.

Wyznawcy Pejotyizmu przypisują lecznicze właściwości boskiemu kaktusowi - pejotlowi - spożywanemu podczas mszy. Szakeryści wierzą, że święte konwulsje posiadają moc uzdrawiania, a stan ten osiąga się podczas całonocnych obrzędów. W konsekwencji, jednym z najczęstszych motywów przyłączania się do tych ruchów jest pragnienie uzdrowienia.

Wydaje się, że interpretacja tego fenomenu winna wskazać na podobieństwa w sytuacji jednostki i całej społeczności. Pojawianie się doktryn millenarystycznych (przepowiadających koniec świata) wyjaśnić można jako hiperbolę przemian doświadczanych przez jednostki w trakcie ich życia. Podobnie, przemiany w całych społecznościach można zredukować do kategorii doświadczeń indywidualnych. Stąd - moralna degradacja jednostki, przedstawiana czasami symbolicznie jako rozkład ciała, może być rozumiana jako obraz kulturowej dezorganizacji życia społecznego, zredukowanego do skali jednostkowych sytuacji. I tak, jak jednostka osiąga zdrowie i szczęście przez swe moralne odrodzenie, tak społeczeństwo odzyska siłę witalną, poprawiając obyczaje i zwyczaje.

Schemat taki jest z pewnością obecny w uzasadnieniach Indian dołączających do nowych ruchów synkretycznych. Potwierdza to fakt, że ich częstym motywem jest pragnienie wyleczenia się z choroby. Niewątpliwie, wzór ten nie jest w pełni świadomie akceptowany przez wszystkie omawiane ruchy synkretyczne. Wierzę jednak, że jest on obecny w świadomości większości ich wyznawców.

Przedstawione normy i zasady moralne można traktować jako wynik wpływów Chrześcijaństwa na indiańskie wierzenia i praktyki religijne; wpływ ten jest oczywisty. Dyskutowane ruchy rozwinęły się w grupach, które często znajdowały się pod silnym wpływem misjonarzy i jeśli nawet nie akceptowały one wszystkich elementów Chrześcijaństwa, to niewątpliwie były jednak dobrze zaznajomione z treścią religii białego człowieka. Kwakrzy wywarli wpływ na powstanie religii proroka Handsome Lake'a. Mormoni, Katolicy i Protestanci mieli wpływ na Pejotyizm, a Katolicy i Prezbiterianie - na Szakeryzm.

Uznanie religijnego synkretyzmu, choć pomocne w określeniu kontekstu kulturowego, nie może być jednak traktowane jako podstawa do wyjaśnienia tego zjawiska. Powstaje pytanie, dlaczego pewne elementy Chrześcijaństwa były przez Indian akceptowane szybciej, niż inne. Indiancy prorocy konstruowali swoje doktryny zarówno z elementów tradycyjnych, jak i chrześcijańskich. Obecność licznych chrześcijańskich wartości etycznych w nowych religiach wskazuje, że wartości te odpowiadały na ważne potrzeby indiańskich społeczności, zdeorganizowanych przez podbój i długotrwałe kontakty z obcą cywilizacją.

Nowe religie nie usiłują przebudowywać indiańskiej kultury; nie akceptują też pełnej adaptacji do amerykańskiego społeczeństwa. Formułują one twórczo normy religijne, możliwe do zaakceptowania w istniejących warunkach społecznych i kulturowych. Nowe formy pozwalają na integrację indiańskich społeczności w oparciu o nowe podstawy. Indywidualne normy etyczne, propagowane przez indiańskie ruchy religijne, zyskują nowy sens w kontekście sytuacji społecznej; w której są one interpretowane jako sposoby społeczno-kulturowego odrodzenia i utrzymania indiańskiej społeczności w warunkach niekorzystnych, lub nawet wrogich, dla integracji indiańskich społeczności i kultur.

Uważam, że w przypadku tego typu nowych ruchów religijnych, powstających spontanicznie w strukturalnie prostych społeczeństwach - lub wśród biedoty w społeczeństwach wysoko rozwiniętych - analiza funkcjonalna wydaje się być najodpowiedniejszym narzędziem.

Jestem w pełni świadoma ograniczeń takiej analizy oraz niebezpieczeństw z nią związanych. Jedno z nich - to personifikacja kultur i procesów kulturowych. Przedstawiona analiza jest podobnie zagrożona. Jednak zjawisko, które jest przedmiotem tej analizy, dotyczy w znacznym stopniu psychologii jednostek, co oznacza, że pewne aspekty świadomych decyzji i działań mogą, a nawet powinny, być brane pod uwagę.

Jestem przekonana, że indiańscy prorocy, twórcy religii synkretycznych, szczególnie silnie doświadczyli rezultatów podboju i dominacji obcych. Najprawdopodobniej ich reakcje na sytuację indiańskiego społeczeństwa były również silniejsze. Co więcej, wiedzieli oni, jak wyrazić, w języku przemawiającym do wszystkich członków ich społeczności, problemy o szczególnym znaczeniu dla wszystkich Indian.

EWA NOWICKA

Z "AMERICAN STUDIES" Vol. VII, Ed. by Michał Rozbicki & Piotr Skurowski, Warsaw University Press, Warszawa 1987, za zgodą Autorki przełożyli: ROMAN BALA i MAREK NOWOCIEN

EWA NOWICKA - profesor w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, członek Polskiej Akademii Nauk. Jej bogaty dorobek z zakresu socjologii i antropologii kulturowej obejmuje, m.in., wiele publikacji o Indianach Stanów Zjednoczonych.

ARTYKUŁY:

- Shakerizm. Religia Indian Ameryki Północnej. "Euhemer", nr 4, 1971;
- Generalizations on Culture Contact Movements among North American Indians. "The Polish Sociological Bulletin", no. 1, 1972;
- Pejotyzm - rola religii w społeczno-kulturowych przemianach Indian Ameryki Północnej. "Euhemer", nr 3, 1972;
- Ruchy milenarystyczne wśród Indian Ameryki Północnej. "Euhemer", nr 3, 1972;
- Indiański shakeryzm. "Etnografia Polska", T. XVI, nr 2, 1972;
- Discussion of: "The New Indians" by Stan Steiner. "Etnografia Polska", vol. XVII, no. 1, 1973;
- Indianie nie z westernu. w: Obrazy świata białych. Red. A. Zajaczkowski. W-wa 1973;
- Przejawy więzi ponadplemiennej wśród Indian Ameryki Północnej. w: Ameryka Północna. Studia. Warszawa 1975;
- Intertribal Solidarity among North American Indians. A sociological study. "The Polish Sociological Bulletin", no. 3-4, 1981;
- Through American Indian Eyes: the Image of the White Man and White Culture among North American Indians. in: North American Indian Studies, no. 2, 1984;
- The Polish Movement of Friends of the American Indians. in: Indians and Europa. An Interdisciplinary Collection of Essays. Christian F. Feest (ed.), Aachen, 1987;
- The Ethical Content of American Indians' Religious Movements. "American Studies", vol. 7, 1987;
- Indiańskie odrodzenie. "Literatura na Świecie", nr 2 (211), luty 1989.

KSIĄZKI:

- Bunt i ucieczka. Zderzenie kultur i ruchy społeczne. Warszawa 1972;
- Wprowadzenie i opracowanie do: John Bierhorst: Czerwony Łabędź. Warszawa 1979;
- Wigwamy, rezerwaty, slumsy. Warszawa 1988 (współautor Izabella Rusinowa);
- Indianie Stanów Zjednoczonych. Warszawa 1991 (współautor Izabella Rusinowa).



Przemiany kulturowe Indian przedstawione przez XIX-wiecznego malarza-podróżnika George'a Catlina: "Wódz plemienia Assiniboinów, Wi-jun-jun, przed i po wizycie w mieście Waszyngton w 1831 roku".

EURO - MEETING '91

Lipiec 1991 r., Stadtroda. Przed rokiem, na VI Europejskim Spotkaniu Grup Poparcia Indian w Monachium, ustalono, że kolejne, VII Spotkanie odbędzie się właśnie tu, we wschodniemieckiej Turynгии. Dla nas miała to być przede wszystkim wymienita okazja do liczniejszej i aktywniejszej, niż dotąd, obecności na Euro-meetingu polskich przyjaciół Indian.

Nasze nadzieje spełniły się połowicznie. Z 12 początkowo chętnych (w tym "niezrzeszonych") do Stadtrody dojechało jedynie (aż ?) 6 członków PSPI: Roman Bala, Lech Cyryłowski, Ilona Goryńska, Wiesław Koleczek, Joanna Lewicka i Marek Nowocien.

Wszyscy - poza Wieskiem, który był już w Niemczech w związku z przygotowaniem do Biegu Eurazja '91-92 - przyjechalismy do Stadtrody wynajętym mikrobusem i wszyscy - poza Romkiem, który wyjechał wcześniej z Apaczami - wróciliśmy po tygodniu do kraju pociągiem (bilet grupowy był tanszy).

Gdyby nie niemal zupełny brak informacji o Spotkaniu (poczta !), byłoby nas w Stadtrodzie zapewne więcej. Z drugiej jednak strony, gdyby nie obietnica gospodarzy, że pokryją nasze koszty uczestnictwa, zakwaterowania i wyżywienia (THANKS, BERND !) - na pewno nie wszystkich byłoby stac na ten wyjazd. Po raz czwarty już potraktowano nas na Euro-meetingach ulgowo (poprzednio w Malmoe, Zurichu i Monachium) i dobrze byłoby już teraz wziąć pod uwagę, że coraz trudniej będzie nam o to zabiegać na kolejnych Spotkaniach we Włoszech (w 1992 r.) i Norwegii (w 1993 r.).

W sześciodniowym (po raz pierwszy) Euro-meetingu w Stadtrodzie (15 - 20 lipca 1991) uczestniczyło około 120 członków trudnej do policzenia liczby grup i organizacji z 12 państw europejskich - w tym po raz pierwszy z Czecho-słowacji - oraz kilkanaście osób ze Stanów Zjednoczonych i Kanady - w tym dziewięcioro tubylców.

Program wszystkich dni wyglądał podobnie: sesje plenarne i spotkania w grupach roboczych trwały od 9.00 do ok. 22.00 i odbywały się w wynajętej na ten czas szkole średniej w centrum pięknie położonego wśród wzgórz miasteczka. Na miejscu była możliwość skorzystania z maszyny do pisania, komputera, kserografu i sprzętu wideo w systemach VHS i NTSC (choć ich poziom techniczny - podobnie, jak całość organizacji - odbiegał nieco od pamiętanej szwajcarskiej precyzji).

Posiłki wydawano (na podstawie otrzymanych przy rejestracji bloczków lub za opłatą) w niedalekim barze, zaś w bufecie na miejscu były do nabycia niedrogie napoje i słodycze. Bardziej wymagający uczestnicy Spotkania nocowali w internacie, pozostali - odwiezieni byli prywatnymi samochodami organizatorów do przygotowanego przez grupę z Triptis obozu (nocleg w tipi lub w stylowym blokhauzie). Indianscy goście odwiedzili obóz, ale - poza Bobbym Castillo - nocowali w internacie. My już wcześniej wybraliśmy obóz, ze wszystkimi jego atrakcjami i niewygodami.

Opublikowany w informatorze program Spotkania zmieniał się codziennie, co powodowało czasem nudnawą "dziurę", a czasem konieczność szybkiego podziału na podgrupy. Do końca nie udało mi się określić reguły, według której pewne sprawy omawiano na sesjach plenarnych, a inne - w grupach roboczych. Jedne i drugie kończyły się zazwyczaj opracowaniem projektu rezolucji, deklaracji lub petycji, przedstawianego później pod głosowanie na sesji plenarnej (powstanie dwóch "konkurencyjnych" projektów rezolucji w sprawie Apaczów uwikłało nas w mały "konflikt dyplomatyczny" i uświadomiło istnienie pewnej rywalizacji między głównymi grupami z Zachodu).

Największym zainteresowaniem cieszyły się oczywiście spotkania z delegatami tubylczymi. Geograficzny i tematyczny zakres omawianych przez nich problemów okazał się równie zróżnicowany, jak ich szczególność i emocjonalne zaangażowanie uczestników (choć tym razem - ze względów oszczędnościowych - ograniczono się do obszaru Ameryki Północnej).



Najkrótsza, ale zarazem najbardziej barwniejsza (nie tylko, ze względu na "ludowe" stroje) była wizyta pary starszych Apaczów San Carlos - Oli Cassadore Davis [3] i jej męża Mike'a Davisa [3]. Reprezentowali oni APACHE SURVIVAL COALITION (Koalicję Przetrawiania Apaczów), walczącą o zachowanie w stanie pierwotnym świętej Góry Graham w południowej Arizonie. Na górze tej rozpoczęto budowę obserwatorium astronomicznego, finansowanego m.in. przez Uniwersytet Arizony i Watykan. Wystąpienie Apaczów, poprzedzone modlitwą w ich języku, obejmowało m.in. prezentację historycznych fotografii z rejonu Góry Graham (niegdyś - części rezerwatu Apaczów), oraz pokaz filmu wideo z tradycyjnej ceremonii dojrzwania. Przed wyjazdem Apacze oraz Mike Diamico z ekologicznej organizacji EARTH FIRST I, która wspiera Apaczów, rozdali informacje, wzory petycji i - torbę prezentów (plecione koszyczki z nasionami).

Najbardziej szczegółowe i najlepiej udokumentowane sprawozdanie z wydarzeń ostatniego roku złożyli "weterani" kilku poprzednich Spotkań, delegaci Indian Kri znad jeziora Lubicon w północnej Albercie - wódz Larry Ominayak [1] i doradca prawny plemienia Fred Lennarson. Informacje dotyczyły głównie najnowszych starań Lubikonów o polityczne rozstrzygnięcie sporu wokół praw własności do zamieszkiwanego przez nich terytorium oraz walki o powstrzymanie japońskiego koncernu Daihwa od eksploatacji drewna na ziemiach Lubikonów (PSPI prosi o nadsyłanie do M. Nowocienia lub R. Bali informacji o działalności tego koncernu w Europie Wschodniej).

Najbardziej ekspresyjne, momentami kontrowersyjne, były wystąpienia przedstawiciela INTERNATIONAL INDIAN TREATY COUNCIL (Międzynarodowej Rady Indiankich Traktatów) i LEONARD PELTIER DEFENSE COMMITTEE (Komitetu Obrony L. Peltiera), Bobby'ego Castillo [7]. Jego, ilustrowane dokumentami filmowymi, wystąpienia dotyczyły wielu, splecionych ze sobą, problemów współczesnych Indian: przesiedlowania działaczy AIM, dyskryminacji więźniów indiańskich, nowych szans na uwolnienie Leonarda Peltiera oraz obchodów 500-lecia Kolonizacji Ameryki.

Prosto ze Stadtrody udał się on na doroczną konferencję IITC na Alasce, następnie na kolejną rozprawę w sprawie Leonarda oraz na uroczystości religijne Apaczów na Górze Graham. Po wzięciu udziału w indiańskich obchodach 12-go października w San Francisco, Bobby Castillo od wizyty w Warszawie i Chodzieży rozpoczął ponad miesięczną podróż po całej Europie. Jego wizyta w Polsce - to jednak temat na odrębne sprawozdanie.

O sytuacji tubylczych więźniów oraz o problemach związanych z działalnością ich duchowych doradców w bardzo osobisty sposób opowiadała też Joyce Wesaw [6], żona kalifornijskiego szamana z plemienia Szoszonów, Bedeaux R. Wesaw, pełniącego - pomimo szykan władz więziennych - rolę kapłana i lekarza indiańskich więźniów (PSPI wsparło jego walkę sądową, w związku z czym wyraził on chęć spotkania się z nami w Polsce).

Najbardziej "akademicki" z kolei - chłodny i przez to nieco bezbarwny - był wykład Erica Larę'a [9], kanadyjskiego Indianina Kri. Poświęcone plemionom objętym uregulowaniami tzw. Traktatu nr 6 wystąpienie stanowiło niezłe kompendium wiedzy o historii politycznej Indian Kanadyjskich Równin, ale brakowało mu odniesień do współczesnego życia i kultury tubylców tego regionu.

Barwne, pełne życia i osobistych wątków były za to wystąpienia Toma LaBlanca [8], dakockiego działacza społecznego i poety. Słucha się go z równą uwagą, gdy opowiada o zagrożeniach związanych z wydobywaniem i przetwórstwem uranu, gdy przedstawia projekty Indiankiej Kapsuły Czasu i Centrum 500-lecia, kiedy czyta swoje wiersze i gdy komentuje swoje spotkanie z europejskimi miłośnikami Winnetou w Muzeum Karola Maya w Radebeul i obozie "Indianistów" w Triptis. W ramach rekompensaty za swoją nieobecność na Świętym Biegu Europa '90, Tom również wyraził chęć odwiedzenia naszego kraju.

Najbardziej zapracowana uczestniczką Spotkania była niewątpliwie Dorothy Thoms [5], Czipewejka z rezerwatu Lac du Flambeau w stanie Wisconsin. Cały swój czas, poza wystąpieniem na temat walki ludu

Czipewejów o prawo do tradycyjnych połowów ryb, Dorothy poświęciła na produkcję drobnej galanterii koralikowej, której kolekcja pod koniec Spotkania zajęła cały stół, rozszerzając naszą wiedzę także o kulturze i rzemiośle ludu Anishinaabe.

Prelekcję ze slajdami na temat antyindiańskiej historii nad Wielkimi Jeziorami wygłosiła też Jane Reiche, współorganizatorka Spotkania, nasza opiekunka, "driverka" i gospodyni tipi, w którym nocowała męska część polskiej delegacji. Jane, jako delegatka wschodniemieckiego Working Circle, obserwowała wiosną 1991 r. konflikt związany z indiańskim sezonem połowów ryb w Wisconsinie, a podczas Spotkania zawiózła grupę jego uczestników na "wizję lokalną" do pobliskiej kopalni uranu.

Artystycznymi umiejętnościami z dziedziny gry na gitarze, śpiewu i tańca wykazał się najbardziej okazały delegat tubylczej Ameryki - Kawaipuna Prejean [2] z Hawajów. W imieniu podobitych w 1893 r. przez USA wyspiarzy oraz Międzynarodowej Rady Indiankich Traktatów (IITC) przedstawił on też problemy związane z walką rdzennych Hawajczyków o prawa do ziemi i jej zasobów, o powstrzymanie zagrożenia świętej śiedziby bogini Pele przez projekt budowy elektrowni geotermicznej oraz o rezygnację z planów składowania 100000 pojemników z gazem paralizującym w atolu Johnsona.

Jak zwykle, nie zawiodły znane postaci europejskiego ruchu na rzecz Indian, które - jak Angela Warsitz z Berlina ("Zachodniego!"), której wszyscy zawdzięczaliśmy sprowadzenie na Euro-meeting do Stadtrody połowy tubylczych delegatów - od lat zajmują się najważniejszymi problemami i koordynują działania poszczególnych grup poparcia i osób.

Renate Donnich z Hamburga w imieniu Zachodnich Szoszonów poprowadziła warsztat, który tym razem nie koncentrował się na problemie prób jądrowych na tubylczych ziemiach w Nowadzie, lecz na najnowszych działaniach na rzecz odzyskania położonych tam plemiennych terenów i zapobieżeniu konfiskacie stad bydła i koni siostrzom Dunn, znanym przywódczyniom Zachodnich Szoszonów.

Govert de Groot z Hagi (członek Towarzystwa Przyjaźni Haga - Warszawa) przedstawił najnowsze wydarzenia dotyczące Inuitów ze wschodniej Kanady. Ich tradycyjny styl życia zagrożony jest wciąż licznymi lotami samolotów wojskowych na niskich wysokościach, a w ich obronie występują działacze proindiańscy, pokojowi i ekologiczni wielu krajów (u nas m.in. WIP i PSPi).

Monika i Ludwig Seiller z monachijskiej BIG MOUNTAIN AKTIONSGRUPPE mieli znaczny udział w organizacji całego Euro-meetingu, ale skoncentrowali się na omówieniu planowanej przez Peabody Coal Co. rozbudowy kopalni węgla na ziemiach Nawahów oraz na działaniach podejmowanych przeciw kontynuowanym po cichu przesiedleniom Indian. Interesujące informacje o możliwościach wpływania na decyzje zarządów koncernów górniczych przedstawił przy okazji Richard Solly z brytyjskiej organizacji MINEWATCH.

Gunter Wippel z Freiburga, który obok Toma LaBlanca prowadził warsztat na temat uranu i przyczynił się znacznie do podjęcia zaskakującej decyzji o powołaniu do życia ANTI URANIUM COMPANY (zob. TAWACIN nr 16), po raz kolejny usiłował też popularyzować - w niezbyt licznych gronie - ideę komputerowej łączności i wymiany informacji między grupami.

Profesor Heinz Lippuner i Helena Nyberg ze szwajcarskiej INCOMINDIOS poprowadzili warsztat na temat tzw. Projektu James Bay II. Przewiduje on budowę systemu zapór i elektrowni wodnych na ziemiach Indian Kri nad zatoką Jamesa w Quebecu i stanowi typowy przykład wspólnoty interesów Indian i ekologów, dążących do powstrzymania międzynarodowych inwestycji zagrażających tak środowisku, jak i tradycyjnej kulturze i gospodarce mieszkańców północnego Quebecu.

Przykładem pozornego w znacznym stopniu konfliktu między tubylczymi myśliwymi i rybakami a obrońcami zwierząt jest dyskusja tocząca się wokół projektu częściowego zakazu importu futer do państw EWG z krajów nie przestrzegających zasad polowań humanitarnych. Zakaz taki może się odbić niekorzystnie na tradycyjnych społecznościach myśliwsko-rybackich,

o ile ich naturalny sposób życia i utrzymania nie zostanie objęty - w przeciwieństwie do całego przemysłu futrzarskiego - odpowiednią ochroną. W dyskusji podkreślono konieczność zarówno popularyzowania tubylczego punktu widzenia problemu, jak i kontynuowania wymiany poglądów z działaczami ruchów obrony zwierząt i innych grup w rodzaju GREENPEACE.

Symbolicznym podkreśleniem stałej troski europejskich sympatyków Indian o ich los na obu kontynentach była ilustrowana slajdami wstrząsająca prelekcja uczestniczki wyprawy medycznej do brazylijskich Indian Yanomami. O możliwości pracy w szpitalu Lakotów w rezerwacie Pine Ridge poinformował z kolei Peter Schwartzbauer (AKIN) z Wiednia.

Ostatni dzień konferencji poświęcono zagadnieniom przyszłorocznym: VIII Euro-meetingowi w Genewie (Włochy) i 500-leciu kolonizacji obu Ameryk. Przedstawiony przez delegatkę SBCONOS INCOMIDIOS z Włoch projekt trzydniowego Spotkania wzbudził liczne sprzeczki ze względu na odejście od wielu dotychczasowych reguł (ograniczenie liczby tubylczych delegatów, otwarty charakter Euro-meetingu i zajmowanie się nie konkretnymi sprawami, lecz teoretycznymi "problemami"). Formuła przyszłorocznego Spotkania pozostała więc otwarta, a dyskusja trwa.

Sporo czasu poświęcono też przygotowaniu do obchodów 500-lecia kolonizacji Ameryki, sposobom popularyzacji tubylczego punktu widzenia tej rocznicy, planom skoordynowanych działań poszczególnych grup w Europie oraz dyskusji nad projektem wspólnej deklaracji. Tematyce tej poświęcone mają być również kolejne spotkania robocze w ciągu roku (ostatnio 16-17 listopada we Freiburgu, dokąd PSPI otrzymało zaproszenie i gdzie przesłało uwagi do projektu deklaracji).

W dwóch ważnych wydarzeniach nie wzięliśmy udziału ze względu na trudności transportowe. Pierwszego dnia nie dojechalśmy na konferencję prasową w Gerze, a ostatniego dnia spóźniliśmy się na poranną ceremonię jedności i bieg ulicami St. Trojedy (Angela Warsitz, która była wszędzie, stwierdziła potem z wyrzutem, że tylko ona reprezentowała tam Polaków).

Poza tym, staraliśmy się być wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego i ciekawego, zabierając głos w dyskusjach i uczestnicząc w przygotowywaniu dokumentów. Nasz symboliczny wkład finansowy w utworzenie ANTI URANIUM COMPANY i wykupienie (na rzecz Peltiera) resztki gadżetów Bobby'ego Castillo był dla wielu ludzi, pamiętających o naszych wciąż skromnych możliwościach finansowych, miłą - i docenioną - niespodzianką.

Nie byłoby to, oczywiście, możliwe, gdyby nie dobre interesy, robione przez nas na naszych kosztach. Sprzedają całej gamy własnych wyrobów zajmowało się zresztą wiele grup, a starzy znajomi kilkakrotnie ułatwili nam korzystne transakcje i wymianę pamiątek.

Milym zakończeniem pracowitego tygodnia był pożegnalny wieczór z wymianą upominków, lampką wina i muzyką ludową z obu kontynentów. Ostatnie minuty pobytu w St. Trojedy - to tradycyjnie wymiana adresów, uścisków oraz wzajemnych życzeń: "See You in Italy!".

Pierwsze informacje z VII Euro-meetingu ukazały się (ze względu na długość cyklu wydawniczego) nie w TAWACINIE, lecz we wrześniowym numerze ZIELONYCH BRYGAD (polecamy!). Dopiero w październiku otrzymaliśmy "Raport" ze Spotkania, zawierający m.in. omówienie najważniejszych tematów, teksty rezolucji oraz listę uczestników Euro-meetingu.

Możliwość wydania podobnego obszernego raportu w języku polskim od początku nie braliśmy pod uwagę zbyt poważnie (to zbyt wiele pracy, jak na nasze możliwości - chyba że znaleźlibyśmy osoby chętne do pomocy w tłumaczeniu i komputerowym przepisywaniu tekstów). Żal jednak trochę, że to - subiektywne i skrótowe z konieczności - sprawozdanie pozostaje do dziś jedynym trwałym śladem naszej obecności na VII Euro-meetingu.

Szkoda, że nikt inny nie odczuwa potrzeby pisemnego podzielenia się z miłośnikami Indian w kraju swoimi refleksjami i wiedzą wyniesioną z największego dorocznego spotkania Indian i ich europejskich przyjaciół.

Marek Nowocien

STRACH NA JEZIORACH

Czipeweje, zwani też Odzibuejami - sami nazywający się Anishinabe - zamieszkują obecnie rezerwy w stanie Wisconsin. Na podstawie traktatów o oddaniu ziem Stanom Zjednoczonym z lat 1837, 1842 i 1854 zapewнили sobie oni prawo do połowów ryb, polowań i zbierania dzikiego ryżu na terenach oddanych rządowi, poza rezerwatami. Prawo to zostało podtrzymane przez sąd decyzją z 1983 r.

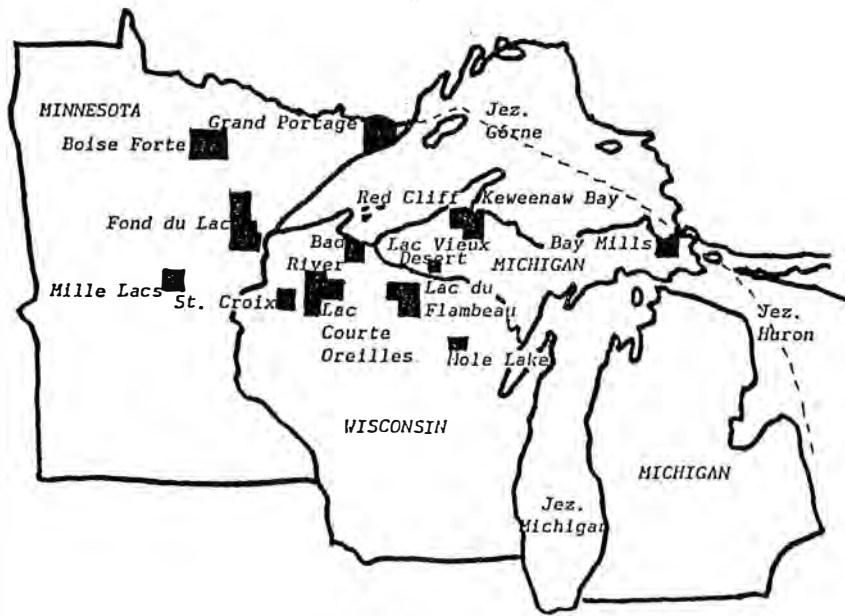
Korzystając z przysługującego im prawa, Anishinabe z rezerwatu Lac du Flambeau każdej wiosny wyruszają na dwutygodniowy sezon nocnych połowów ryb przy pomocy harpunów i pochodni. Co roku jednak zmuszeni są stawiać czoła aktom rasizmu i przemocy ze strony grup białych demonstrantów, protestujących przeciwko indiańskim połowom. Inicjatorami tych akcji są organizacje: PARR (Chron PRAWA i Zasoby Amerykanów) i STA (Powstrzymaj Naduzycia Traktatowe), podejrzewane o związek z Ku-Klux-Klanem.

Również rok 1991 nie różnił się pod tym względem od poprzednich. Czi-

pewejskim rybakom blokowano dostęp do przystani, obrzucano ich rasistowskimi obelgami, kamieniami i puszkami po piwie. Taranowano indiańskie łodzie, padały też strzały. Demonstranci, przedrzeźniając śpiewających Indian, usiłowali zabrać im obrzędowy bęben. Jak stwierdził jeden z Indian, Jay Tobin: "atak na święty bęben jest tym, czym byłoby namalowanie swastyki na ścianie synagogi".

Pod adresem Indian Kierowano obelżywe uwagi w rodzaju "zwierzęta", "brązowe bękarty". Przyspiewki demonstrantów mówiły o powodowanej przez Indian "eksterminacji" ryb, chociaż wiadomo, że Czipeweje nie łowili nigdy więcej, niż 3% ryb, które wolno odłowić w całym stanie. Atmosfera na przystaniach podgrzewana była uwagami demonstrantów: "Gdybyśmy tylko mieli bombę, wysadzilibyśmy ich w powietrze", "Myślałem, że Custer wybił ich wszystkich", "Powinniśmy zdobyć broń i załatwić tę sprawę". Pod adresem Czipewejek Kierowano nieprzyzwoite uwagi i wyzywano je od "squaw". Niektórzy nosili czapeczki z napisem "Szkoda, że Custerowi zabrakło kul".





W hrabstwie Marathon biali weteran inwazji na Panamę krzyczał do harpunników, że on, w przeciwieństwie do "indiańskich zdrajców", służył swojemu krajowi. Tymczasem niektórzy z harpunników to również weterani wojenni, a prezydent Bush potwierdził "prawa traktatowe" Indian m.in. w uznaniu ich zasług dla armii USA.

Słyszano też uwagi o treści ludobójczej. Pewien demonstrant z hrabstwa Oneida powiedział np., że finansowanie programów rehabilitacji alkoholików wśród Indian powinno być wstrzymane, bo gdy "umrą na marskość wątroby, to rozwiąże problem". Inny zaproponował w radiu: "Po prostu - wyrznijmy ich". Po zamieszkach na przystaniach zdarzają się nieuzasadnione aresztowania Indian. W hrabstwie Polk grupa członków AIM (Ruchu Indian Amerykańskich) wtargnęła na okupowaną przez demonstrantów przystan, spychając ich do wody. Przedstawiciel Departamentu Zasobów Naturalnych powiedział reporterom, że jeden z Indian uzbrojony był w rewolwer. Następnego dnia okazało się, że był to tylko szczyryk.

Obrona praw do tradycyjnych polowów nie jest jedynym problemem, z jakim borykają się Czipeweje. Koncern górniczy Kennecott planuje budowę kopalni uranu tuż koło ich rezerwatu. Czipeweje obawiają się, że odpady z niej mogą zatruć ryby i zniszczyć dziki ryż, którego coroczne zbiory stanowią ważną część ich gospodarki i kultury. Ucieka płoszona zwierzyna.

Indiańskie organizacje Wa-Swa-Gon Treaty Association i Midwest Treaty Network zapraszają na sezon polowów międzynarodowych obserwatorów i dziennikarzy. W wielu krajach Europy organizowane są demonstracje przed ambasadami USA. Ich uczestnicy domagają się zapewnienia Indianom bezpieczeństwa w sezonie polowów, przestrzegania traktatów i ochrony zasobów naturalnych. Wysyłane są również listy protestacyjne do gubernatora Wisconsinu, T. Thompsona. W ubiegłym roku nadeszło ich około 200 z 15 krajów, w tym (1991) roku - były również listy z Polski.

Na podstawie nadesłanych materiałów opracował Wiesław Koleczek.

Pow-wow

(List Cheryl Tenniscoe-Riley, Czipewejski z Ontario do Wiesława Koleczka z 30 kwietnia 1990 r.)

(...) Sezon na pow-wow bywa tutaj często, zgromadzenia te są okazją do spotkań się, współzawodniczenia w tańcu i, być może, wygrania pieniędzy. W dawnych czasach konkursowe pow-wow były zgromadzeniami, podczas których różne rodziny spotykały się, a nawet łączyły poprzez małżeństwo. Było wiele gier podczas których młodzi mężczyźni popisywali się swoją siłą i wytrzymałością. Dziś również się popisują, ale ale w tańcu.

Tradycyjni tancerze sporządzają swoje stroje z naturalnych materiałów - skóry jelenia lub łosia, piór orlich i przepiórczych, sierści łosia - tradycyjni tancerze w swoich strojach mają bardzo mało koralików. Tańce w których uczestniczą, to tańce myśliwskie, np. taniec trawy, podczas którego przykucają bardzo nisko i wyskakują w górę z okrzykiem, zgodnie z rytmem bębna. Istnieje taniec podkradania się, podczas którego mężczyźni stąpają dumnie wokół, udając przepiórkę, nieświadomą tego, że może stać się obiadem dla jakiejś rodziny myśliwych. Jest to rodzaj gry dla tancerzy, którzy usiłują przewidzieć, kiedy bęben wyda odmienny dźwięk i przyspieszy lub nagle zatrzymać się. Kiedy tancerz zostanie przyłapano w wykroku, gdy bęben nagle milknie - odejmuje mu się punkty.

Jeżeli podczas tańca z jakiegoś stroju wypadnie pióro, to traktowane jest jak duch poległego wojownika. Tylko tradycyjni tancerze mogą podnieść takie pióro i tylko wtedy jeśli zatańczyli w jego imieniu. Grający na bębnie grają pieśń uhonorowania, jedną z nich jest pieśń weteranów.

(...) Tylko dwóch tancerzy może tańczyć w imieniu pióra - ten, który je zgubił i ten, który honoruje pióro, tańcząc z nim. Zwykle jest to ten sam, który podniósł pióro i zwraca je tancerzowi. Podczas pieśni uhonorowania widzowie wstają zdejmując nakrycia głowy.

Pow-wow zwykle zaczyna się Wielkim Wejściem, wszyscy tancerze wchodzą jeden za drugim i tańczą w kręgu. Pier-

wszymi tancerzami są starsi, niosą oni flagi Kanady i Stanów Zjednoczonych. Podczas Wielkiego Wejścia grana jest pieśń flagi. Za starszą idą tradycjonalisci, następnie tancerze, kobiety tradycjonalistki, tancerki i wystrojone dzieci. To cudowny widok kiedy zbierze się ze 200 tancerzy. Wszyscy tańczą wokół bębna, przesuwając się w kierunku ruchu wskazówek zegara.

Tancerze sporządzają swe stroje z kolorowych piór i włóczki. Prawie cały strój wyszywany jest koralikami - wyszywa się pasy i nakrycia głowy, legginy i moksasy. (...) Wirują dookoła i podskakują bardzo wysoko - wygląda to, jakby świetnie się bawili. Muszą, gdy milknie bęben zatrzymać się natychmiast. Wszystkie pieśni są bardzo szybkie, ale dobry tancerz potrafi przewidzieć, kiedy bęben nagle umilknie. W tych pieśniach jest fragment w którym bęben gra, milknie, gra, milknie, gra, milknie, - w tym czasie wszyscy tancerze kierują swe orle pióra ku czterem wiatrom w geście szacunku dla naszej Matki Ziemi, Czterech Kierunków i Wielkiego Ducha.

Czasami podczas tych pow-wow rodzina jednego ze starszych, który odszedł, może poprosić o taniec koca, aby zebrać pieniądze, które pomogą pokryć koszty pogrzebu. W czasie tego szczególnego tańca czterech członków rodziny, trzymając za rogi koca, tańczy po okręgu w czasie jednej pieśni uhonorowania, a widzowie rzucają na koca pieniądze. Następnie koc z pieniędzmi ofiarowuje się rodzinie zmarłego.

Tradycyjne tancerki noszą stroje także z naturalnych materiałów - stroje ich są ze skóry z niewielką ilością koralików. Noszą one coś, co nazywa się suknią dzwonkowa. Dzwonki sporządza się z blaszanych puszek z których wycina się trójkąty, związa w stożki i przyszywa do sukni, żeby dzwoniły podczas tańca. Kobiety tańczą skromnie i poważnie, stawiając małe kroki.

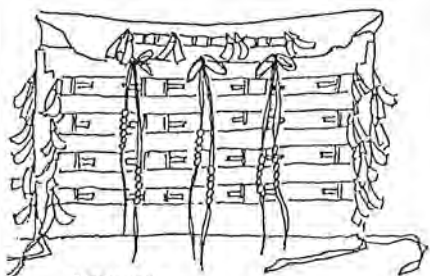
Strój tancerek składa się z dużej ilości satyny, wstążek, koralików, szalów, kawałków włosów i pasów wyszywanych koralikami. Są one bardzo piękne, kiedy skaczą i wirują w jaskrawych kolorach z długimi warkoczami huśtającymi się dookoła. Wyglądają jakby tańczyły w powietrzu, jak gdyby ich stopy nigdy nie dotykały ziemi, taką lekkość mają w stopach te dziewczęta.

* * *

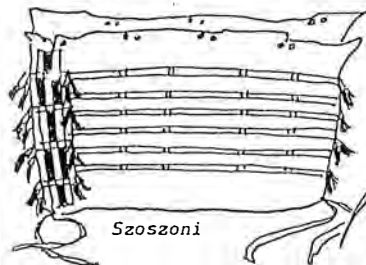
TORBY INDIAN RÓWNIŃ

Ten niewielki objętościowo fragment TAWACINU przeznaczony został na prezentację materiałów z bardzo szeroko pojętego działu etnografii. W dziale tym mowa będzie m.in. o sztuce, muzyce, tańcach, elementach ubioru, obrzędach, grach i zabawach, a także od czasu do czasu kącik "Zrób to sam". Chociaż tak naprawdę to od Was, czytelników zależy co znajdzie się w tym dziale i jaka będzie jego objętość. Piszcie więc, co Was interesuje i o czym chcielibyście poczytać.

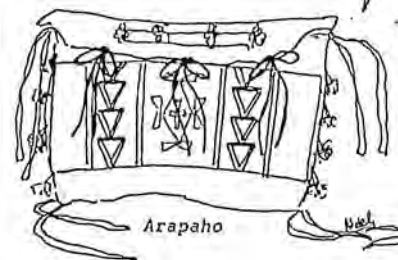
* * *



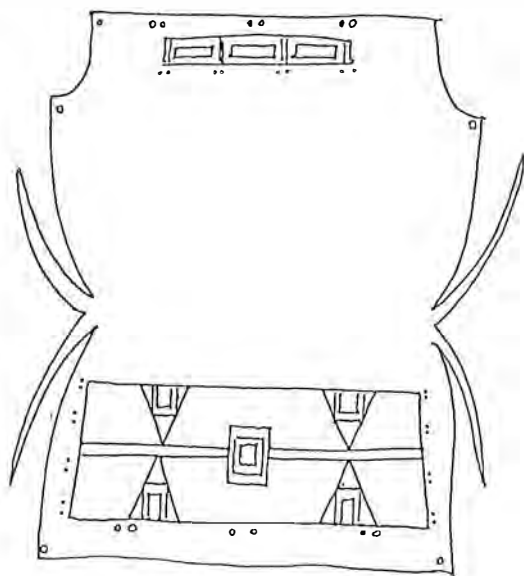
Siuksowie



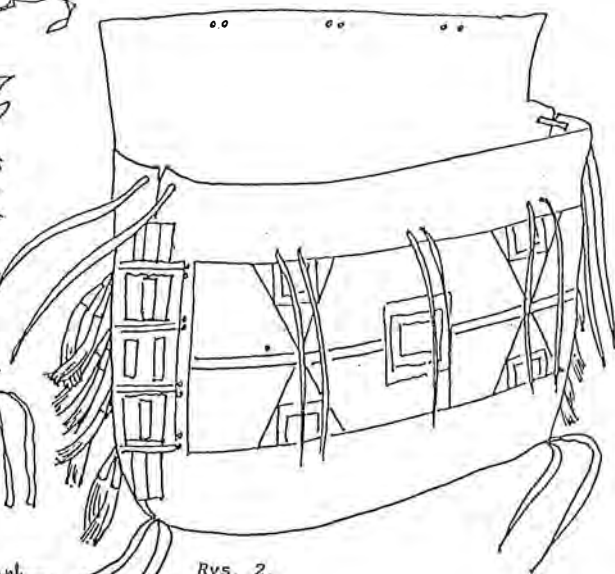
Szoszoni



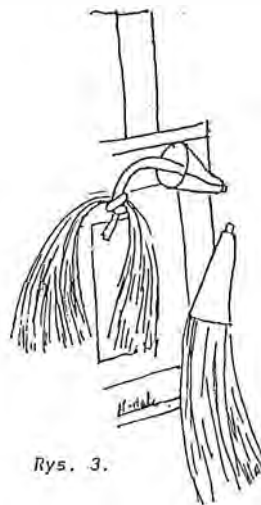
Arapaho



Rys. 1.

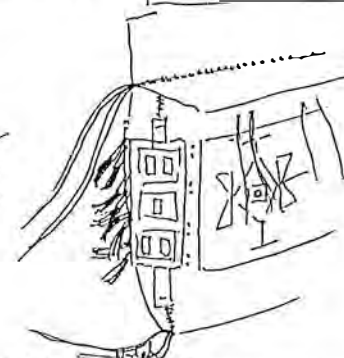
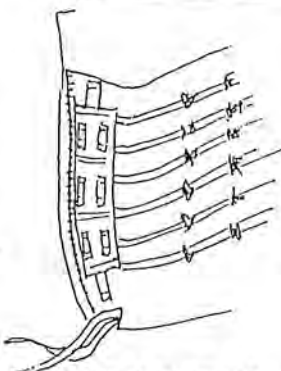
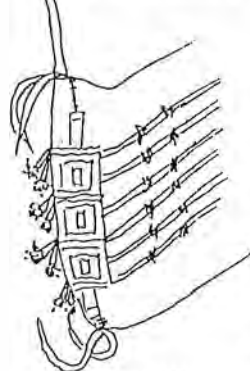
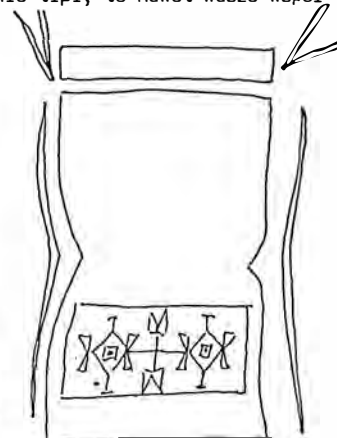
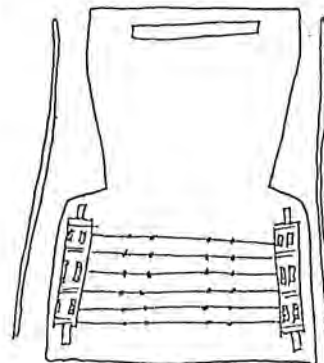
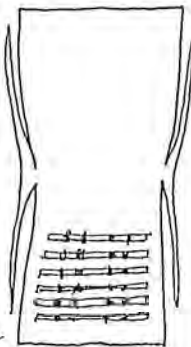


Rys. 2.



Rys. 3.

Rys. 4.
Inne wykroje toreb



Torby te nazywano przeważnie "torbami na wszelkie możliwe rzeczy". Przechowywano w nich najczęściej ubrania, ale mogą doskonale służyć na przybory toaletowe, czy różne rzeczy do pozszywania czy załatania.

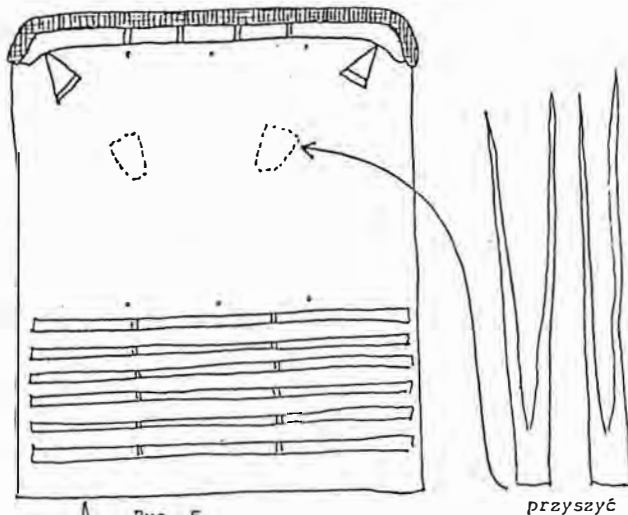
Dawniej torby te zazwyczaj robiono ze skór krowich, jelenich i bizonich (często szyto je ze starych skór po tipi, garbowanych zwierzęcym mózgiem). Później robiono je nawet z grubego płótna, czy brezentu.

Większość plemion Północnych Równin (Siuksowie, Arapaho, Czarne Stopy, Szejenowie, Szoszoni, Arikara, itp.) używała toreb, których wykrój pokazany jest na rysunku 1. Na rysunku 2 widać tą torbę już po zszyciu, brakuje tylko kilku blaszek z końskim włosiem, które przymocowuje się tak, jak to pokazano na rysunku 3. Często z braku większych skór zszywano kilka mniejszych kawałków. Każde plemię stosowało charakterystyczne dla siebie dekoracje z koralików lub kołców jeżozwierza. Średnie wymiary takiej torby po złożeniu wynoszą 40 cm wysokości i 50 cm szerokości.

W tipi wieszano je po obu stronach wejścia, a w czasie wędrowek przymocowywano je do damskich siodeł. Torby przy siodłach męskich różniły się tylko nieznacznie i posiadały ulubioną przez mężczyznę dekorację - długie frędzle, na wykonanie których używano nieraz całej skóry jelenią.

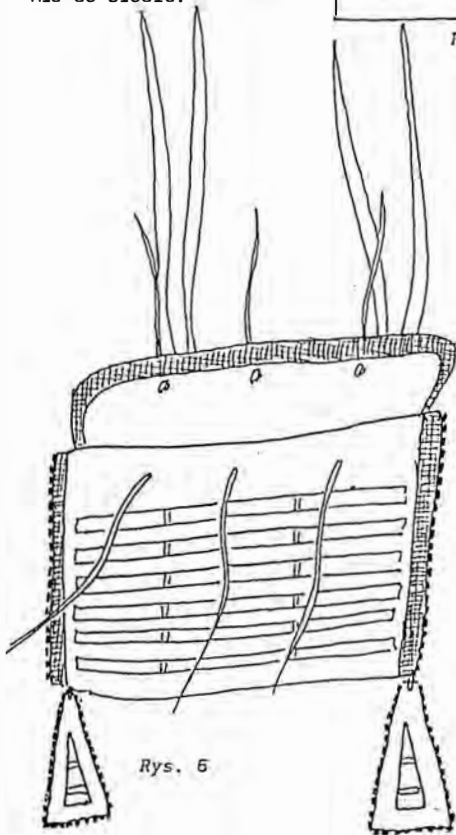
Warto się potrudzić i zrobić sobie takie torby, napewno ozdobią Wasze tipi, a jeśli nie tipi, to nawet Wasze współczesne mieszkanie.

Inne plemiona Północnych Równin używały toreb, których wykrój pokazano na rysunku 5. Najbardziej popularne były wśród Crow i Nez Perce. Gotową złożoną już torbę pokazuje rysunek 6. Widać na nim powszechnie stosowaną metodę obszywania brzegów kawałkiem materiału. Średnie wymiary złożonej torby wynoszą: 20x34 cm. Widoczne na rys. 5 i 6 długie rzemyki przyszywane są z tyłu torby i służą do przywiązywania do siódła.



Rys. 5.

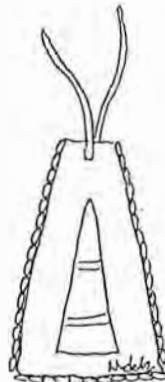
przyszyć



Rys. 6



Rys. 7.
Doki toreb
wykończone są
czerwoną wełnianą
lamówką.



Rys. 8.
Wisząca ozdoba



Crow

Zimą Szejenowie często spotykali się w małych grupkach, żeby sobie pograć. Ta gra toczyła się w tipi, gdzie palące się ognisko dawało właściwe oświetlenie. Wszyscy siadali na ziemi razem z kilkoma śpiewakami zebranych wokół bębna, a cała reszta siadała pod ścianami tipi. Gra rozpoczynała się modlitwą, wygłoszoną przez tego, kto tego wieczoru prowadził grę. W niektórych plemionach ta gra jest pełnym obrzędem religijnym, jednak u Szejenów było trochę inaczej. Zasady gry mogły zmieniać się prawie każdego wieczoru, dlatego zawsze musiał być prowadzący, który grą kierował. Zazwyczaj było tak, że prowadzący widział we śnie określony wariant gry, ułożenie nacięć na patyczkach, czy inne szczegóły. Zdarzało się też, że to jakiś duch instruował go, jak ma przebiegać gra, którą wieczorem przeprowadzał, gdyż u Indian nawet sport miał duchowe kierownictwo. "Byłem w szkole i żyłem wśród białych ludzi - powiedział jakiś wykształcony mieszaniec - lecz nigdy nie widziałem

ludzi tak religijnych, jak my. Moi ludzie zaczynali wszystko modlitwą, nawet gry i zabawy".

Otwarcie gry modlitwą, sprawia, że grę traktowano jako duchowe objawienie; przynosi to wtedy szczęście, powodzenie, zdrowie, dobrobyt i długowieczność. Ze zwykłą powagą prowadzący opowiadał o swoim śnie i objaśniał zasady gry.

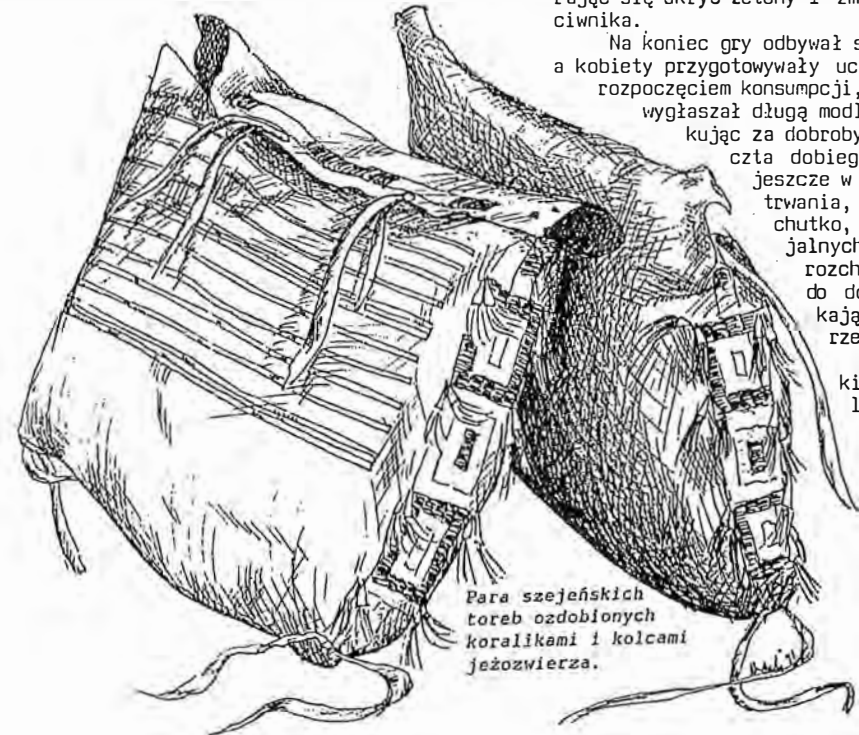
Ogólnie gra polegała na tym, że gracze siedzący po przeciwnych stronach ogniska, odgadywali w której ręce przeciwnik trzymał patyczki lub żetony. Żetony często rzeźbione były w kształcie czarnego ptaka, prawdopodobnie wrony, symbolu dobra. Jeśli gracze odgadnęli w których rękach ukryte są żetony, wtedy role się zamieniały. W momencie wygrania wszystkich żetonów jednej strony, rozlegał się okrzyk triumfu i trele zwycięstwa kobiet. Wszyscy głosno się śmiali [no, może z wyjątkiem przegranych - przyp. N.]. Zmieniał się rytm bębna, śpiewano pieśni i całe tipi wypełnione było rytmem tańczących stóp i brzęczących ozdób.

Podczas całej gry śpiewano specjalne na tę okazję pieśni. Grający przebiegają rękami w rytm bębna, starając się ukryć żetony i zmylić przeciwnika.

Na koniec gry odbywał się taniec, a kobiety przygotowywały ucztę. Przed rozpoczęciem konsumpcji, jakiś mężczyzna wygłaszał długą modlitwę, dziękując za dobrobyt. Kiedy ucztę dobiegała końca, jeszcze w czasie jej trwania, goście ci chutko, bez specjalnych pożegnań, rozchodzą się do domów, znikając w otwarte tipi.

I tak po kilku chwilach całe wesołe towarzystwo ulatniało się w ciemnościach.

* * *



Para szejjeńskich toreb ozdobionych koralikami i kołkami jeźźowierza.

Indianscy tancerze we Wrocławiu

Na zaproszenie organizatorów XXVI Międzynarodowego Festiwalu Oratoryjno-Kantatowego "Vratislavia Cantans" (!) gościła w Polsce profesjonalna grupa indiańskich tancerzy z Oklahoma, zespół GREAT AMERICAN INDIAN DANCERS. 7 września 1991 r. zespół ten stał się głównym bohaterem Dnia Muzyki Indiańskiej na wrocławskim Festiwalu.

"Programy monograficznych dni muzyki tureckiej i muzyki Indian Amerykańskich skonstruowane były podobnie. Rano odbywały się wykłady przybliżające muzykę tych egzotycznych dla polskiego słuchacza narodów, a po południu i wieczorem - prezentacje muzyczne." (RZECZPOSPOLITA nr 218, 18.09.91)

Prelekcja lidera grupy, Dennisa Zotigha, była nie tylko prezentacją teoretycznych podstaw muzyki, ale także interesującą systematyzacją historii i kultury Indian Ameryki Pn. Ku zaskoczeniu ok. 30-osobowej grupy członków i sympatyków PSPI, przybyłych do miasta, zapełniła ona obszerną Aulę Leopoldina na Uniwersytecie Wrocławskim i przez ponad półtorej godziny utrzymywała w skupieniu zarówno publiczność, jak i śpiewaka grupy, Ralpha Zotigha, skamieniałego w tradycyjnym stroju na scenie.

Napięty program zespołu (wywiad dla lokalnej telewizji) nie pozwolił, niestety, na pełne zaspokojenie ciekawości osób zadających pytania po wykładzie (dotyczyły one zarówno instrumentarium i wokalistyki, jak i np. historii Nawahów, możliwych inspiracji twórców Konstytucji 3-go Maja ideami wywodzącymi się z irokeskiego Wielkiego Prawa Pokoju, a także "sensu" tańca deszczu - co miało, być może, związek z ulewą po wyjściu).

Udało się nam jednak nawiązać znajomość z Dennistem i Kierowniczką zespołu Shoshana Wasserman (przedstawiona jako pół-Polka, została powitana owacyjnymi oklaskami sali) oraz otrzymać zaproszenie na obiad w hotelu "Wrocław" (nie skorzystaliśmy) i rozmowę po wieczornym występie (gdzie, oczywiście, byliśmy).

"Zainteresowanie Wrocławian sobotnim występem Indian kosztowało Teatr Polski utratę szyby obok kasy sprzedającej bilety. Organizatorzy nie ukrywali,

że jest to najbardziej atrakcyjny koncert na festiwalu muzyki klasycznej. Przy lepszej reklamie i innym miejscu koncertu, byłaby to impreza, która mogłaby na siebie zarobić, bo: - zespół liczy 10 osób (orkiestra z chórem - kilkadziesiąt), - Kevin Costner obudził w nas miłość do Tańczących z wilkami, - gdyby nie fakt, że większość publiczności stanowią goście - wpływy byłyby duże". (GAZETA DOLNOSŁĄSKA nr 203, 9.09.91)

Wieczorem ci z nas, którzy odpowiednio wcześniej zadbałi o wejściówki i bilety (Agata, dziękujemy!), przedarli się przez tłum obiegający wejście i - rzuciwszy okiem na sprzedawane w hali plakaty zespołu, koralikowe świecidełka i stylowe indiańskie obrazki (rozchodzące się bez względu na cenę) - zajęliśmy miejsca na sali (większości, niestety, na odległych balkonach). Wielkie Wejście całego zespołu i solowy Hymn Weteranów Indian Ponca (odsławiany przez Ralpha Zotigha przed stojącą publicznością) wciągnęły nas szybko w to "barwne, pełne życia widowisko, cepeliadę w amerykańskim wydaniu".

"The Great American Indian Dancers z Oklahoma zaprezentował coś w rodzaju popularnej pogadanki, ilustrowanej ożywionymi diapozytywami. Tu nie było czasu na kontemplację, była za to beztroska zabawa (także z udziałem publiczności), zakończona indiańskimi pohukiwaniami tysiąca stu jedenastu 'błędnych Twarzy'". (GAZETA ROBOTNICZA, 9.09.91)

Skromna warstwa muzyczna występu (z reguły solowy śpiewak z małym bębniem) z nadmiarem rekompensowała jego wizualną atrakcyjność, dramaturgia układów tancecznych, barwność strojów i ozdób oraz temperament indiańskich artystów. Każdy z blisko dwudziestu tancerów poprzedzony był kilkudziesięciu wprowadzeniem (podobne opisy znalazły się też w wydrukowanym po polsku programie występu).

Zespół zaprezentował głównie tradycyjny folklor wielu rejonów kulturowych Ameryki Północnej. Były więc zabawne Opowieści Eskimoskiego Wojownika (którego piosenkę naśladował następnego dnia

radiowy komentator), Kobięcy Taniec Łabędzia Indianek Yakima, dziękczynny Taniec Bizona z Puebla Laguna, ceremonialne tańce potlaczowe Indian Tlinkit i Haida, dramatyczny Taniec Wojowników i Taniec Skarp Indian Kiowa, naśladowczy Taniec Orła z Puebla Jemez, fabularny Taniec Jeleni Winnebagów, "biały" (tancerki wybierały partnerów) Taniec Niedźwiedzia Indian Ute oraz wymagające cyrkowych umiejętności - i wzbudzające owacyjny aplauz publiczności - symboliczne Tańce z Obręczami Siuksów.

Przedstawiono też współczesne tańce międzyplemienne, m.in. - Kobięcy Taniec Szala, symboliczny męski Taniec Wojenny oraz - wykonany z udziałem publiczności - taniec Two Step ("dwutakt"?). Zestaw tańców ze współczesnych pow-wow oraz odśpiewana solo na bis Pieśń Wschodu Słońca Indian Zuni niespodziewanie zakończyły ponad godzinny występ zespołu.

"Koncert-spektakl w wykonaniu Great American Indian Dancers wzbudził liczne kontrowersje ze względu na skojarzenia z rodzimymi cepeliadami. Wydaje się jednak, że pomimo tych kontrowersji, warto było ten koncert zobaczyć." (RZECZPOSPOLITA nr 218, 18.09.91)

Występ zespołu udowodnił, że nawet mało znany, egzotyczny folklor (sztuka?) Indian Ameryki Północnej może cieszyć się sporym zainteresowaniem i być odbierany przez tzw. szeroką publiczność ze spontaniczną zyczliwością. Pod warunkiem, oczywiście, że prezentowany będzie tak, jak to było w Teatrze Polskim - w sposób profesjonalny, atrakcyjny i przystępny, zapewniający przeciętnemu widzowi satysfakcję z odbieranych wrażeń artystycznych, a znancom - twórcze wnioski odnośnie teorii i praktyki wykonawczej (koncepcja i scenariusz pokazu, choreografia, kostiumy, itp.)

Interesującym, choć nieco zbyt powierzbionym i chaotycznym, jak na nasze oczekiwania, uzupełnieniem samego występu była możliwość spotkania, wypytania i obejrzenia artystów z bliska po zakończeniu koncertu. Jednak i to nie wystarczy, by pokusić się o jednoznaczna odpowiedź na pytanie o sens budzących zdziwienie u części publiczności wypowiedzi Indian w rodzaju "jesteśmy po prostu indiańskimi artystami - przebieramy się do występów na scenie, a na

codzień chodzimy w dzinsach, mieszkamy w miastach, uczymy się i pracujemy".

Trudno ocenić, na ile jest to wynik chłodnego profesjonalizmu i rzeczywistej utraty codziennych związków z własną tradycją i kulturą, a na ile - próba sprowadzenia na ziemię nastoletnich łowców autografów, nieświadomych realiów współczesnego życia Indian, w obleganych tancerzach upatrujących ucieśnienia mitu o romantycznym Winnetou. Również i pod tym względem przyjazd zespołu do Polski spełnił pewną rolę edukacyjną, a dodatkowym efektem naszego spotkania z nimi była integracja - i poszerzenie - dolnośląskiego kręgu przyjaciół Indian (skomentowane potem przez "Teleexpress" pokrętną informacją o "powstaniu we Wrocławiu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indiańskiej" - uff!).

Tancerze z Great American Indian Dancers przed przyjazdem do Wrocławia wystąpili również w Jeleniej Górze, a swój tegoroczny (być może nie ostatni) pobyt w Polsce zakończyli występem w Gdańsku. Tam też doszło do wzajemnie zaskakującego i pouczającego zapewne spotkania z grupą miłośników Indian ze Sztumu. Grupa ta, we własnym zakresie odtwarzająca indiańskie stroje i tańce, od kilku lat popularyzuje folklor Indian Ameryki Północnej w wydaniu może nie tak profesjonalnym i skomercjalizowanym, jak to mieliśmy okazję zaobserwować u tancerzy z Ameryki, ale za to - paradoksalnie - w formie bardziej może autentycznej i zbliżonej do pierwotnych wzorców. Także i oni mają szansę wykorzystać obserwacje z występu oraz nawiązane kontakty.

Być może pozytywne doświadczenia z występów Great American Indian Dancers w naszym kraju zachęca odpowiednie instytucje i osoby do częstszego sprowadzania indiańskich artystów oraz sięgania po inne formy popularyzowania ich kultury (także tej ze zbiorów prywatnych). Byłby to odpowiedni sposób uczczenia obchodzonego właśnie - często w sposób bardzo eurocentryczny - 500-lecia burzliwych kontaktów dwóch światów i kultur: europejskiej i tubylczoamerykańskiej. Jedną z lepszych ku temu okazji mogłaby być planowana na lato 1992 r. europejska trasa koncertowa znanego ambasadora indiańskiej kultury - zespołu American Indian Dance Theatre. Czy i ich będziemy mogli oklaskiwać w Polsce?

Marek Nowocielec

SYN GWIAZDY PORANNEJ

FILM W KONTEKŚCIE HISTORII I LITERATURY

To zapewne powodzenie filmu "Tańczący Z Wilkami" sprawiło, że nasza telewizja wyświetliła w sierpniu br. dwuczęściowy film SYN GWIAZDY PORANNEJ (1990, reż. Mike Robe. Wyk. Gary Cole, Rosanna Arquette, Dean Stockwell, Rodney A. Grant, Floyd Westerman i in.). Jest to adaptacja powieści Evana Connella, opowiadającej o życiu gen. Custer: bohatera i pogromcy Indian - dla jednych, mordercy - dla innych. Jego dzieje relacjonują dwie kobiety: żona Lizzy mówi o wojnie z Indianami od strony rozgrywek w wyższych kołach wojskowych. Indianka Kate Big Head (głosu udzieliła jej sławna pieśniarka Buffy St. Marie!) - opowiada o zagładzie, o rżeniu traktatu z 1868 r. przez białych kolonistów i poszukiwaczy złota.

Film odsłania psychologiczną warstwę biografii gen. Custer, którego pokazano jako butnego, pewnego siebie i zżeranego przez ambicję oficera amerykańskiej kawalerii, co doprowadziło go do klęski nad Little Big Horn.

Film oparty na bogatym materiale historycznym, dalece odbiegający od dobrze znanego stereotypu. Kino już wcześniej poddało rewizji mit Custer-bohatera. Arthur Penn w swoim "Małym Wielkim Człowieku" kpił sobie z Custer, ośmieszając go i przedstawiając jako błądną. W SYNU GWIAZDY PORANNEJ pokazano Custer-cynika i psychopatę, opętanego żądzą krwi Indian.

Interesującym zjawiskiem we współczesnym kinie amerykańskim z gatunku westernu jest obsadzanie w roli Indian autentycznych tubylców. Można mieć nadzieję, że epoka farbowanych-białych-Indian minęła już bezpowrotnie. Dziś wręcz do dobrego tonu należy zapraszanie indiańskich aktorów do realizacji filmów o Indianach traktujących. Indianscy artyści założyli własną agencję, która

dba o ich interesy. Można więc znów mieć nadzieję, że pojawi się niebawem jeszcze więcej filmów na dobrym poziomie, którego gwarancją jest korzystanie z talentu i autentyczności aktorów indiańskiego pochodzenia, np. Floyd Red Crow Westermana (Siedzący Byk) czy Rodneya A. Granta (Szalony Koń), pamiętanego ze wzruszającej i dramatycznej sceny końcowej "Tańczącego Z Wilkami".

Film podjął też mało znaną dotychczas historię Indianki z plemienia Szejenów, zafascynowanej czy wręcz zakochanej w gen. Custerze. W 1927 r. historyk i pisarz Thomas B. Marquis (m.in. autor takich książek jak: "Wooden Leg: A Warrior Who Fought Custer" i "Kate Big Head: She Watched Custer's Last Battle") odnalazł niezwykłą Szejenkę z grupy Południowej, zakochaną w kacie swego plemienia i jednocześnie go nienawidzącą. W agencji Tongue River zwano ją Kasia Wielka Głowa (Kate Big Head). Wśród Szejenów nazywała się Kobieta Antylopa (Antelope Woman). Żyła w obozie nad Washitą, gdy zaatakował ich Custer. Była obecna w wiosce Szejenów nad Sweetwater, kiedy w marcu 1869 r. Custer przyjechał zawrzeć pokój i wypalić fajkę ze Strażnikiem Świętych Strzał, Kamiennym Czołem (Stone Forehead). Kamienne Czoło ostrzegł wtedy Custer, że przy Świętych Strzałach wojno mówić tylko prawdę; jeśli skłamię - on i jego ludzie zginą. Kobieta Antylopa obserwowała też bitwę nad Little Big Horn, w której zagrzewała do walki swego bratanka Idącego Głośno (Noisy Walking). Choć liczyła już wtedy dwadzieścia dziewięć lat, nie miała jeszcze własnego syna. Oto co powiedziała:

"Generał Custer zabił wielu naszych nad Washitą, ale następnego roku przyjechał znowu i wy-

pałił z Szejenami fajkę pokoju. Obiecał nigdy więcej nie gnębić Indian. Mój lud dał mu imię Hi-es-tzie (Długowłosa). Widziałam Długowłosego wielokrotnie w owe dni. Ktoregós dnia stałam obok niego, kiedy wsiadał na konia. Rzuciłam mu piękne spojrzenie. Byłam wtedy 22-letnią kobietą i uwielbiałam go. Był bardzo przystojny, miał długi nos, głęboko osadzone oczy i długie włosy w lokach. Podobał się wielu Indiankom (...) W kilka lat później, po bitwie nad Little Big Horn, przejeżdżałam na moim koniku przez pobojuwisko pełne zabitych żołnierzy, ale nie wiedziałam, czy leży tam Custer. Potem opowiedziały mi dwie kobiety ze szczepu Południowych Szejenów, które były z nami nad Little Big Horn, że znalazły jego ciało. Przyglądały mu się, aż nadjechało kilku Siuksów, którzy chcieli go posiekać, ale kobiety powiedziały, że on należy do Szejenów [kobiety te, pamiętając o Monasacie, miały powiedzieć "On jest naszym krewnym" - przyp. MM]. Więc Siuksowie ucięli mu tylko palec i odjechali. Wtedy kobiety przekłuły mu szydełkiem uszy aż do środka głowy, żeby polepszyć mu słuch, bo przedtem źle słyszał, co nasi wodzowie powiedzieli mu, kiedy pałił z nimi fajkę pokoju. A powiedzieli mu, że jeśli złamię obietnice i będę dzie walczył z Indianami, Wielki Duch sprowadzi nań śmierć z naszych rąk...

Od 60 lat wielokrotnie myślałam o przystojnym Hi-es-tzie. Myślałam o tym, czy kiedy jechałam przez pobojuwisko, mój koń kopnął go swym kopytem." (W. Łysiak: Asfaltowy Saloon. Warszawa 1988, s. 100)

We wspomnieniach Kobiety Antylopy znaleźć można relację o innej Szejenie zakochanej w Custerze. "Moja młoda kuzynka o imieniu Me-o-tzi [inne źródła podają imię Monahsetah - przyp. MM] często jeździła z nim [Custerem] pomagając mu szukać śladów Indian. Powiedziała, że on mówił jej, iż konie jego żołnierzy mają pod

dostatkiem kukurydzy i owsa, mogą więc prześcignąć i dopaść Indian jadących na konikach karmionych jedynie trawą. Lubili ją wszyscy Szejenowie, wszyscy byli zadowoleni, że ma tak ważne zadanie w życiu. Kiedy Długowłosa odjechał, wielu młodych Szejenów chciało ją poślubić. Ale ona nie przyjęła żadnego [jeden z Oglalów, Joseph White Cow Bull twierdził, że żaden z Szejenów nie mógł jej poślubić dlatego, że miała z Custerem siedmioletniego syna i otrzymała plemienny zakaz wychodzenia za mąż w swoim plemienu - przyp. MM]. Powiedziała, że Długowłosa jest jej mężem, że obiecał do niej wrócić, i ona będzie na niego czekać. Czekają siedem lat. A wtedy został zabity.

Me-o-tzi bardzo lamentowała, gdy dowiedziała się o jego śmierci. Nie była wtedy z tymi ludźmi [Szejenami Południowymi], ale siyszałam, że ścierała włosy i ponosiła sobie ręce i nogi na znak żałoby. Jej serce posmutniało jeszcze bardziej dlatego, że [Custer] został zabity w bitwie, w której Północni Szejenowie walczyli przeciwko niemu. Z rok później poślubiła białego mężczyznę zwanego Isaac. Mieli kilkoro dzieci. Jedną z jej córek jest teraz dojrzałą kobietą żyjącą z nami w rezerwacie Północnych Szejenów nad Tongue River. Matka dożyła sędziwego wieku i zmarła sześć lat temu w Oklahomie, jakoś tak zaraz po Gwiazdce (w styczniu 1921 r.). Ale jej imię pozostało z nami. Moja najmłodsza wnuczka ma na imię Me-o-tzi. Czasami chłopcy dogryzają jej mówiąc: 'Jesteś indiańską żoną Custer.' (People of the Sacred Mountain. A History of the Northern Cheyenne Chiefs and Warrior Societies by Father Peter John Powell. Harper & Row 1975, s. 1327-28)

Pamięć o Me-o-tzi/Monasacie przetrwała do dziś i stała się tematem utworów literackich, m.in. wierszy Maurice'a Kenny i Charlotte DeClue. M. Kenny opatrzył swój wiersz ciekawym autorskim komentarzem.

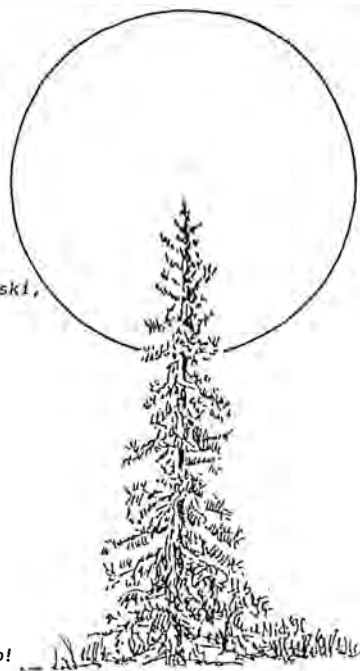
MAURICE KENNY

Monasetta... szejefska dziewczyna

Rzuciona w mroźne zęby zimy
przez władców równin;
Spuszczona w krwawe wody Washity
Gdzie ciało twego ojca spłynęło z nurtem...
Jego męskość wepchnięta mu w usta,
Jego skalp jak porzecz nad żołnierzami Custer.
Odciągnięta z grupy bezradnych pojmanych kobiet,
z oseskiem kwilącym i rzygającym ci w ramionach;
Ciągana przez Długie Włosy byś macała w popiołach wioski,
byś wytropiła bijące serce twego ludu.

Czy dłonie Sheridana pieściły słodycz
twoich młodych szejefskich sutek?
Czy Custer przebił cię jak ćwiekiem
aż jego prawowita małżonka wyrwała jego spoczone uda
z tej Szejefskiej Tajemnicy Życia!
Trzymałaś swe dziecięce dłonie na podołku
i czułaś kopnięcie ptaka, ledwie opierzoną spermę
posianą jak nadmiar kukurydzy przez Długie Włosy
o złotych lokach!
Skąd znalazłaś tyle miłości żeby wskoczyć do jego
polowego łóżka, bez noża
albo czemu on znalazł twoje ciało na swym materacu
z ziemi!

Custer wyniósł twój grób ku chwale, głupia dziewczyno!
Dziś w wiatrach nad Doliną Washity płaczą topole
Nad zarżniętym Szejenem. Żaden wiatr nie łąka
wśród liści nad zawziętą dziewczyną, córką Małej Skały,
która podążyła za ogonami konnych żołnierzy.



Czytając ten wiersz tutaj,
teraz, drżą mi kolana, dostają
gęsiej skórki. Za każdym razem,
gdy czytam "Monasetę" drżą mi ko-
lana i cierpię skóra. Jednak nie
czytam już tego wiersza [na spot
kaniach], okazuje się bowiem, że
obraża feministki, gdyż nazwałem
ją dziewczyną i nie zmienię. Na-
prawdę nie mogę jej nazwać nasto-
latką.

Znów mam wrażenie, że jest to
ważny wiersz w moim dorobku. To
jeden z najmocniejszych wierszy,
jakie napisałem. Napisałem go w
1972 i bez dwóch zdań jest to
wiersz polityczny. Choć jest dla
mnie ważny - nie czytam go z po-
wodu reakcji feministek. Dla mnie
Monasetta była dziewczyną.

Co do wersetu: "Żaden wiatr
nie łąka/wśród liści nad zawziętą
dziewczyną, córką Małej Skały,
która podążyła za ogonami kon-
nych żołnierzy." Mała Skała był
jej ojcem, którego zarżnęli chłop-
cy Custer nad Washitą w 1888.
Dziewczynę zmuszono do wzięcia
się przez 6 miesięcy z Custerem,
tropiącym Szejenów, którym udało
się umknąć z masakry. Czuli, że
ich zwodziła, z pewnością tak by-
ło. Na nieszczęście zakochała się
w poczciwym George'u, generale
George'u Armstrongu Custerze.

Później w bitwie nad Little
Big Horn (...) Custer poległ, roz-
bili go wojownicy Lakotów i Sze-
jenów, którzy tego dnia zwycię-
żyli chcąc, nie chcąc.

Niektórzy ludzie utrzymują, że
Monasetta - znana 7 pułkowi jako
Sally - była tam w czasie ataku
na indiańskie obozowisko. Nie
wiem, czy to prawda, ale podobno
ona i Czerwona Głowa (Red Head)
jako pierwsze znalazły gołe cia-
ło Custer na polu bitwy; gołe
ale całe, nie okaleczone; jak chcą
niektóre raporty. Czerwona Głowa
była siostrą Czarnego Kociołka,
pokojowego wodza Szejenów, który
też został zarżnięty w masakrze
nad Washitą. Rzekomo obmyły ciało
z krwi, ranę na piersi i przekłu-
ły mu ucho sztyłem, aby następnym
razem, gdy Ludzie będą z nim roz-
mawiać, był lepiej usposobiony
do słuchania. Do tej pory nie
słuchał. Potem zostawiły go razem
z innymi ciałami na tym wzgórzu
koło wąwozu.

Monasetę zabrano do Montany,
żeby poślubiła północnego Szeje-
na, stąd jej obecność na tym te-
renie podczas pamiętnej rozwałki.
Odtąd zniknęła z raportów i kro-
nik, tak ustnych, jak i pisanych,
aż odkryto ją ponownie wiele lat
później jako staruszkę z Oklaho-
my. Sądzę, że umarła w 1921, mając
81 lat. Poślubiła białego mężczyz-
nę o nazwisku Isaac i urodziła
mu kilkoro dzieci. Gdy umarła
miała dwadzieścioro dwoje wnuc-
ząt. Gdybyście pojechali do Clin-
ton lub Calumet w Oklahomie, jak
ja zrobiłem, i rozmawiali tam z
Szejenami, nie zechcą o niej mó-
wić. Uważają, że ich zdradziła.
Gdybyście spytali, czy wiedzą coś
o Monasetcie, odparliby, że nigdy
o niej nie słyszeli. Do tych, któ-
rzy nie chcą o niej mówić należy
także Lance Henson, świetny młody
szejefski poeta.

Jej los był podobny do losu
Sacawajewy (...). Po masakrze nad
Washitą odbijało ją sobie wielu
różnych mężczyzn, wśród których -
zdaniem historyków - znajdował
się także Custer. Istnieje pewne
podejrzanie, że spisał z nią Tom
Custer, młodszy brat George'a.
Faktem jest, że po urodzeniu się
dziecka Custer, Żółtej Jaskółki,
raport brzmiał, że to dziecko To-
ma. Kiedy jednak [Monasetta] wę-
drowała z 7 pułkiem kawalerii

poprzez Oklahomę na równiny Tek-
sas, George nie pozwalał Tomowi,
ani nikomu innemu kręcić się ko-
ło niej. Była niezwykle piękna.
Zachowała się jedna jej fotogra-
fia, gdy stoi w szeregu 53 ko-
biet pojmanych przez Custer nad
Washitą. Poczciwy George lubił
śliczne Indianeczki. Nie poślu-
biłby żadnej, ale z pewnością
z nimi spisał.

Podobno George nigdy nie spał
z Lizzy, Elizabeth, swą żoną. Nie
urodziła mu dziecka. Powiada się,
że była oziębła.

Jedyne dziecko Custer, syn
Żółta Jaskółka, zmarł w wieku 16
lat. Nie pamiętam roku, 1880, tak
myślę. Zmarł na szlaku, po tym
jak Północni Szejenowie wydsta-
li się z więzienia w Forcie Ro-
binson i ruszyli w szaleńczą mor-
dęgę do swego ojczystego kraju.
Widocznie był wątłym dzieckiem.
Nie wytrzymał rygoru ucieczki
do właściwej wolności. To strasz-
na historia, tragiczna, którą Mari
Sandoz opisała w swej wstrząsa-
jącej książce "Jesień Szejenów".
Chłopak nazywał się Żółta Jas-
kółka od żółto-czarnego proporca
7 pułku.

Na podstawie:

Maurice Kenny: Greyhounding this
America. Heidelberg Graphics,
Chico, California 1988, s.33-35.

* * *

SYN GWIAZDY PORANNEJ, prod. USA,
1991. reż. Mike Robe; scen. Evan
S. Connell; muz. Craig Safan; zdj.
Kees Van Oostrum; wyst. Rodney A
Grant (Crazy Horse), Ed Blatch-
ford, Stanley Anderson, Nick Ramus,
Floyd Red Crow Westerman (Sitting
Bull), Rossana Arquette, Demina
Becker (Young Kate Bighead), Gary
Cole, Dean Stockwell (gen. She-
ridan), George American (Horse
(Stone Forehead), Sheldon Wolf-
child (Bloody Knife), Terry
O'Quinn. Głos Kate Bighead - Buffy
Sainte-Marie. Koordynator jęz.
Doris Leader Charge.

CHARLOTTE DECLUE

W duchu Monasety

Duchowi Monasety
i wszystkim kobietom, które
zruciono na ziemię i zniewolono.

(Znad Brzegów Konce)

Śmierć jest w tej rzece
można usłyszeć jej mowę.

ludzie łowiący ryby
albo obserwujący gniazdo
wielkich ptaków w małej zatoczce
nie mogą tego usłyszeć,
nie stworzono ich do słuchania.

widziałam orły
i lot po rybę

ale tam jest coś jeszcze.
Tajemnica mówiąca
o życiu, śmierci
i odrodzeniu
naciągnięta do granic.
gwałt narzucił nowe warunki.

gdybym mogła
wyrwałabym śmierć z tej rzeki.
gdybym mogła
cisnęłabym ją w niebo.
ale dziś chmury zwisają
sine i sponiewierane
jakby mówiąc
że one też mają dosyć.

bo w dole rzeki
znaleziono ciało kobiety
nagie i bezimienne
prosto w uścisk wody.

wbijam palce w wilgotną glinę
dotykam ziemi dotykam ziemi
jeśli się zgubiłaś
dotknij ziemię.
jeśli wiatr zmienia kierunek
albo wpadłaś w pułapkę
dotknij ziemi.

gdy dosięga cię gwałt
dotknij głęboko

bo on tam uderza.
to miejsce
ta chwila
gdy morderca i jego przyrząd
stają się jednym.



zimny nieżywy metal
przyłożony mi do gardła.
paznokcie wbite w ból.

zamykam oczy by odegnąć
wspomnienie
ale żadnej bariery
żadnej siły umysłu
żadnej groźby zemsły.
(ofiary są ograbione z woli)

jeno zwykła nicość
gwiazdy rozłamaną
na milion cząstek
spadających w rozproszeniu.
i dźwięk
który słyszą tylko ci,
co usłyszeli
upadek gwiazdy.

gdybym mogła
uleczyłabym cię, Uszuaka
duchu Kobiecości.
i poszłybyśmy znowu
bez lęku
bez połknięć.
poszłybyśmy razem
ty i ja
mówiąc to i owo.
(ale nie to, co mamy wspólnie)

zapomniałybyśmy
a rzeka byłaby taka jak dawniej.

nocą

rzeka płynie milcząco
przez moje łóżko
a okrągły księżyc
rzuca refleksy na podłogę

być znowu całą
malutką.
być całą.

Wiersz pochodzi z debiutanckiego tomika
WITHOUT WARNING (Strawberry Press 1987)

MAURICE KENNY

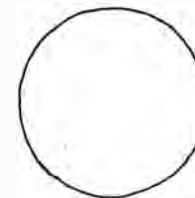
Wzgórze Reno... Little Big Horn
25-26 czerwca 1876

Siedem ognisk ze świętego kręgu...
wioski otoczone rękami ludzi...
nie tak łatwo przedrzeć się
zębom kul i atakom kawalerii
choć krew wciąż poi trawę.
Odwrót Reno wykopał mu grób;
Żądza Custera pożarła mu ciało,

a kości jego i żołnierzy
wyją w ciemnościach jak psy.
Dzieci Siedzącego Byka
antylopa pasie się na tym samym wzgórzu;
lis wywęszył mysz i owoce traganka;
dzikie ogiery płodzą młode
które staną dęba na tym pomniku.

Dosyć krwi rozlano...
"to dobry dzień do umierania..."
Przeigrana wojna wygrana.
Śledem ognisk płonie i tworzy
święty krąg ludzkich dion.
Zapijaczony Reno, hezpotomny Custer.

napisane naprędce dla Johna Rouillarda i NEX-TV,
kanał 8
w San Diego w Kalifornii
nadany 25 czerwca 1976



MAURICE KENNY

Taniec Ducha

dla Jamesa Walsh

Wiesz, Wovoka był kiepskim krawcem
i nie umiał szyć koszul
które by się oparłyżębom wiatru.
Taniec to tancerz.

Siedzącego Byka pogrzebano
ale jego dzieci urodziły inne.
Musimy gryźć ciało tam, gdzie boli
i zapalić szafnię w Brooklynie i Oakland.

Polujemy razem.
szczury piszczą w tunelach naszych kości;
dzieci cmokają zapuszkowaną truciznę.
Ale ty to wszystko wiesz.

Wiesz, że dzieciom nie wolno się potknąć...
choć lekarze mogą złożyć kości
i wyleczyć poparzenie z bąblami.
Naszą matkę zamordowano.

Alcatraz nie jest mityczną wyspą...
kolana zginają się na stare opowieści.



Wiersze ze zbioru: Humors and/or
Not So Humorous Swift Kick.
Issue #7/8 Buffalo 1988.

Opracował i wiersze przełożył
Marek Maciołek

Widziałem przed sobą bezkres drogi...

Starając się od wielu lat poznać na czym polega inność indiańskiego pojęcia otaczającej nas rzeczywistości zawsze miałem na uwadze, że nie jestem w stanie w stu procentach poznać tego, jeśli nie uda mi się odczuć na własnej skórze przynajmniej fizycznych sposobów kroczenia indiańską ścieżką. I oto nadarzyła się okazja. Mogłem wziąć udział w Biegu. Mogłem być jednym z nich, całym sobą odozuwać to samo zmęczenie, poświęcić się tej samej idei. Dużo czasu zajęło mi zrozumienie, o co tak naprawdę w idei Biegu chodzi. Zrozumiałem to w chwili, kiedy w czasie biegu wsłuchiwałem się w rytm swego serca i kroków, kiedy widziałem przed sobą bezkres drogi, kiedy kołujący nad głową orzeł pozdrowił mnie swym krzykiem, kiedy powiew wiatru ochłodził moją rozpaloną głowę, kiedy jedyną myślą było zdanie - "Nie dobiegnę!" a jednocześnie dobrze wiedziałem, że nic mnie nie zatrzyma i kiedy wreszcie po przebiegnięciu kilkunastu kilometrów w kurzu i upale otrzymałem od czekających na mnie ludzi butelkę wody i widziałem plecy następnego - tego, któremu oddałem święty "stuff" i który niesie go dalej. Wielu biegaczy było chorych lub kontuzjowanych, ale zawsze był ktoś, kto ich zastąpił. Jedność - to było to, co składało się na istotę tej idei.

Bieg odbywał się na trasie Wilno - Leningrad (St. Petersburg). Był to czas wielkiej niepewności. Od samego początku odczuwaliśmy atmosferę lęku o to, co może wydarzyć się jutro. Już pierwsza noc w Wilnie, kiedy kazano nam nocować pod barykadami nieopodal słynnego gmachu parlamentu tłumacząc, że jest to miejsce stosunkowo bezpieczne, a potem bieg przez zabarykadowane ulice i manifestacja pod wieżą radiowo-telewizyjną na oczach okopanego, radzieckiego wojska, wprowadziły nas w nastrój ogólnie panującego niepokoju.

To uczucie skądinąd dobrze nam znane. Obserwowaliśmy tych ludzi

jak przeżywają to, co sami znamy z niedalekiej przeszłości. Uczucie ogólnej niepewności, wybuchający patriotyzm (tak wielki, że wręcz nacjonalistyczny), wszechwidoczna bieda i my z naszym posłaniem poszanowania Matki Ziemi, Miłości i Pokoju. Traktowano nas zawsze i wszędzie bardzo miło nie wiem jednak na ile wynikało to z poparcia dla idei jaką głosiliśmy, a na ile z faktu, że byliśmy gośćmi z "Zachodu". Po tych pierwszych wrażeniach ruszyliśmy w trasę. Normalna codzienność życia na kołach. Problemy z transportem, zmęczenie. Wokół nas wielu ludzi, twarze zmieniają się jak w kalejdoskopie. Zbyt wielu organizatorów powoduje zamieszanie, bywają momenty, że nikt nic nie wie. Ale atmosfera wspaniała - przynajmniej dla mnie. Piękna pogoda, cudowne krajobrazy, mili ludzie, wszystko to dodawało siłą. Myślę często o o ludziach, którzy byli głównymi motorami imprezy. Myślę o Giseli i Claudii, które całe dnie i noce poświęcały na łatanie dziur organizacyjnych. I o SkyHawk'u nadającym wszystkiemu ten niesamowity nastrój wspólnoty i duchowości. Dzięki tym ludziom zrozumiałem co znaczy słowo "razem". Kiedy w wyniku kontuzji nie mogłem biegać dostałem od wszystkich oprócz życzeń powrotu do formy kartkę, a na niej wypisane kto ile kilometrów za mnie przebiegnie. Policzyłem. Wyszło 300 km. Płakałem.

Szałas Potu. Różnie oceniana działalność SkyHawk'a. Myślę jednak, że wypowiedzi - "za często", "za słabo", "za mocno" były elementem edukacji. Dla mnie samego była to nauka i sprawdzian własnej słabości, cierpliwości i tolerancji. Może to dziwne, ale zaczętem inaczej patrzeć na słabości innych, kiedy sam sobie uświadomiłem jaki jestem słaby i mały. Szałas te były ważne także z tego względu, że podczas ich trwania łączyliśmy się duchowo z tymi którzy uczestniczyli w Biegu w Kanadzie.

Osobny temat to spotkania z ludźmi, głównie przy okazji zatrzymywania się na nocleg. Było tak, że nikt się nami nie interesował ale częściej witano nas niezwykle atrakcyjnie. Bywało, że z orkiestrą i kwiatami. Organizowano dla nas koncerty, były wywiady, prezenty. I dzieci. Ogromna ilość dzieci. Często zabawa do późnej nocy.

Tracił na znaczeniu fakt braku ciepłej wody, toalety i wygodnego łóżka. Fakt, bywało że - nocowaliśmy w warunkach komfortowych. Zdarzało się, że ludzie zapraszali nas na noc do swoich domów. Rozmowy, rozmowy. Ludzie tam są bardzo ciekawi świata. Raz nocowaliśmy na międzynarodowej imprezie ekologicznej ECOTOPIA 91'.

Z pierwszego wrażenia takie małe bieszczadzkie RAINBOW. Ważna noc, bo wieczorem poznaliśmy bardzo wielu ludzi z całego niemal świata, a rano dowiedzieliśmy się o zamachu stanu i grożącym nam niebezpieczeństwie stanu wyjątkowego. W ten dzień biegły tylko kobiety. Szczęściem ominęły nas wszelkie zamieszki związane z zaistniałą sytuacją. Raz tylko widzieliśmy kolumny czołgów na przedmieściach Tallina. I w każdym większym mieście barykady na ulicach. Przypomniał mi się Wrocław w 82r.

Czas szybko mijał, dzień po dniu czuliśmy się bardziej związani z biegiem. O ile na początku miarą maximum moich sił było przebiegnięcie siedmiu kilometrów, to w ostatni dzień udało mi się pokonać 25 km. Zresztą nie dystanse były ważne, tam się po prostu chciało biec.

Ta część Biegu zakończyła się dla nas w b. Leningradzie. Po uroczystym obrzędzie i kilkudziesięciu godzinach w mieście pojechaliśmy na obóz zorganizowany przez tamtejszych indianistów jak by nie oceniać tych ludzi (ich podejście do Indian jako mocno "nawiedzone" momentami nas śmieszyło) to każdy z tam obecnych musi mi przyznać,

że wielu spośród nich to wspaniali przyjaciele. Każdy z nas wywiózł z tamtąd co najmniej jakiś prezent jeśli nie ziarno uczucia. Można się było od wielu z nich nauczyć co oznaczają słowa: bezinteresowność i przyjaźń. Tam miałem sprawdzian życia w grupie w warunkach biedy i głodu. Było, że żywiliśmy się jagodami i grzybami, brak papierosów powodował u palaczy głód nikotynowy, a kąpieliśmy się tylko raz, bo zamiast obiecanego jeziora było bagno. Mimo tych niedogodności czułem się tam wspaniale. Także dlatego, że udało nam się cudownie żyć w naszej polskiej grupie. Dziękuję wam Przyjaciele. Myślę że to, co razem przeżyliśmy na zawsze związało nasze serca. Nie osiąga się takiego stanu spotykając się raz na jakiś czas na zlotach.

Na koniec zapadła decyzja, że część ludzi będzie kontynuować bieg mimo braku dalszej organizacji. Poprowadzi ich SkyHawk.

Znając tego człowieka myślę że uda mu się doprowadzić bieg do Tybetu. Gorąco życzę szczęścia tym, którzy z nim pobiegli, bo w tamtejszych warunkach będą go wiele potrzebować.

Wyjeżdżaliśmy obładowani bagażem wspomnień, upominków, adresów i zaproszeń. Myślę, że jeśli będzie możliwość - pojadę tam kiedyś. Chcę zobaczyć jeszcze kiedyś Igora, Władimira, Aleksa. Ze łzami w oczach wsiadaliśmy do pociągu.

Po długiej jeździe wszedł do wagonu celnik i po polsku poprosił o paszporty. Skończyła się nasza przygoda. Prawdę mówiąc, ucieszyliśmy się na myśl o powrocie do domu. Tutaj żyje się normalniej.

Po powrocie do domu grupa przyjaciół pomogła mi zorganizować Szałas Potu w intencji tych, którzy kontynuują bieg. Bardzo Wam za to dziękuję.

Marek Kabat

Po 52 dniach Święty Bieg na Rzecz Życia i Ziemi - Kanada 1991 zakończył swoją, liczącą 3800 mil, duchową drogę na Terytorium Mohawków w Kahnawake. Tegoroczny Bieg rozpoczął się 5 sierpnia na Wyspie Victorii koło Vancouveru w Kolumbii Brytyjskiej. Inna grupa pokonała 1200 mil, biegnąc z Terytorium Penobscotów w stanie Maine (USA) i dołączyła do głównej grupy przed Mostem Merciera, łączącym Montreal z Kahnawake.

Zespół składał się z 7 Japończyków, 8 Francuzów, 3 Sami, 2 Szwedów, 4 Niemców, 2 Polaków (Jacek Piwowski i Anna Peichert), 2 Rosjan, 25 tubylców z Kanady, 15 tubylców z USA i 8 nie-tubylczych biegaczy z Kanady i USA.

Święte Biegi rozpoczęły się w 1978 r. w Kalifornii. W ciągu 17 Biegów ich uczestnicy przebyli już ponad 26000 mil przez USA, Japonię, Europę i Kanadę, niosąc duchowe przesłanie świętości wszelkiego życia i potrzeby pozostawania we wzajemnej harmonii wszystkich jego składników.

Trasa kanadyjska wiodła biegaczy przez Kolumbię Brytyjską, Albertę, Saskatchewan, Ontario i Quebec. Zatrzymali się oni w stu tubylczych wioskach, miastach i rezerwach. Reakcja na przybycie biegaczy do tubylczych wiosek była - jak powiedział Dennis Banks, twórca i kierownik Świętego Biegu - "przytłaczająca". "Ludzie często godzinami oczekiwali na nasze przybycie i sami stali w deszczu, aby tylko zaopferować nam schronienie i posiłek." Pieśni, opowieści i tańce pierwotnych mieszkańców Kanady mieszały się podczas improwizowanych wymian z tymi pochodzącymi z innych ziem tubylczych, z Japonii, Francji, Rosji, Polski, Szwecji i Niemiec.

Święty Bieg zakończył się - według możliwości poszczególnych uczestników - biegiem na 100 mil, 50 mil lub pełnym maratonem. "Był to prawdopodobnie największy bieg od 1978 roku" - powiedział Fred Morgan, organizator Biegu. (mn)

Podczas Świętego Biegu 1992, "Biegu Wyspy Żółwia", dwie grupy biegaczy pokonały całą Zachodnią Półkulę. Jedna grupa wyruszy z Kręgu Arktycznego na południe, a druga z Ziemi Ognistej na północ, by 12 października 1992 r. spotkać się w Santa Fe, w stanie Nowy Meksyk, na tygodniowych uroczystościach Roku Ludów Tubylczych.

Trasa północna rozpocznie się na rosyjskiej Syberii 25 czerwca 1992 r. Członkowie grupy pokonają 50-milową Cieśninę Beringa w rybackich łodziach Sami-Inuitów. Grupa 15 delegatów Świętego Biegu popłynie parowcem wzdłuż wybrzeża do wiosek Lost River, Nome i Koyuk. Dalej ładem udadzą się na rzekę Yukon, a następnie łodzią i wojennym kanu w górę rzeki, do Fairbanks. Tam biegacze i wiosłarze połączą się w ceremonii rozpoczynającej liczącą 5400 mil duchowy Bieg.

Północna trasa biegnie przez Yukon, Terytorium Północno-Zachodnie i Kolumbię Brytyjską w Kanadzie, a po przekroczeniu granicy w Browning, w Montanie, wiedzie przez Dakotę Południową, Wyoming, Utah i Arizone do Santa Fe. W ciągu 104 dni biegacze pokonają ogółem około 6800 mil. Bieg wyruszy z Fairbanks 8 sierpnia, a jego kierownikami będą: Dennis Banks, Fred Morgan i Paul Owns the Sabre.

Druga grupa wyleci do najbardziej na południe wysuniętego skrawka Ameryki Południowej - na Ziemię Ognistą i stamtąd wyruszy na północ, by w Panamie wkroczyć do Ameryki Centralnej i dobiec na 3-dniowe tubylcze uroczystości w mieście Meksyk. Stamtąd, przez Guadalajarę w stanie Chihuahua, El Paso w Teksasie i Las Cruces w Nowym Meksyku, przybędą 12 października 1992 r. do Santa Fe. Tam połączą się z biegaczami z grupy północnej w obchodach Roku Ludów Tubylczych. Grupa południowa w ciągu 180 dni pokona około 9500 mil, a jej kierownikiem będzie Emmet Eastman. (mn)

Organizator Świętych Biegów Dennis Banks zaprosił do udziału w Świętym Biegu - Kanada 1991 jedyne polskie uczestnika Świętego Biegu - Europa 1990, jednego z trzech biegaczy, którzy ukończyli finałowy, 80-kilometry maraton do Moskwy, Jacka Piwowskiego z Gdyni. Na własny koszt wyjechała też do Kanady Anna Peichert z Tczewa. Ich udział w tym Biegu miał przybliżyć Indianom pas - polskich przyjaciół Indian, a Ani, Jackowi i - za ich pośrednictwem - nam wszystkim umożliwić lepsze, bardziej bezpośrednie poznanie tubylczych Amerykanów i ich kraju. Nasi delegaci przeszli (i przebiegli) wiele i - sprawdzili się. Ich doświadczenia niełatwo będzie przekazać, ale na pewno warto spróbować. Poniżej drukujemy fragmenty

Z listów Cichego Mokasyyna

"Tak więc byłem uczestnikiem Sun Dance (tańca słońca - Red.). Lecz bez przekuwania. Tańczyłem w kręgu, byłem uczestnikiem ceremonii świeżej ofiary. Blizny pozostaną na zawsze. Wszystko, co wiedziałem o Sun Dance, to było nic. Teraz trochę wiem. Obóz był oddalony o godzinę jazdy samochodem od Seattle. 100 ludzi, tańczących 20 mężczyzn i 15 kobiet. Ceremonia trwała 4 dni, szalas potu obowiązywał wszystkich. Było tak mocno, że prawie zemdlałem. Akurat w tym czasie była pełnia księżycia. Czary.

Obóz podzielono na dwie części - ta druga dla tancerzy i 4 szalaszów potu. Wioska w stanie Waszyngton, lecz ludzie Lakota. Połowa modlił w ich języku, połowa po angielsku. Ceremonię prowadził William Stampede z Pine Ridge. Znam tu tylko Biegaczy. Pete Lone Elk odebrał mnie z lotniska. I to, że Indianin czekał na mnie, zapamiętam jako dobrą gwiazdę na nową Drogę.

Teraz jestem już w Kanadzie. Osrodek indyjski w Kolumbii Brytyjskiej, wspaniały totem przed wejściem. Dotarliśmy tu po wielu trudach, jest nas teraz 9 osób. Dołączyli: Taiichi, Ania (nareszcie!) i Indianin Kri. Jak tu jest? Prawdziwa Kanada! Bieg się jeszcze nie zaczął, a Anka już się martwi, jak przeżyje rozstanie z tymi przemilnymi ludźmi.

Do Biegu jest 5 dni, gdy będziesz czytać te słowa, będziemy już na trasie. Dennisa jeszcze nie ma, bierze udział w

jakims filmie. Przewodnikiem jest Paul Owns the Sabre, który wydzwaniania z każdej budki na stacji benzynowej. Organizacja jest w punkcie zero. Ostatnią noc spaliliśmy w samochodach i pod chmurą. Lecz ja nie narzekam, rzeczywistość poznaje się na żywo. Ania zaczęła malować koszulki. Ammon włączył Marleya i jest swojsko. Chyba zwarują, jak dołączy reszta runnersów.

Dzisiaj chcę Ci opowiedzieć o dwóch stronach medalu. Jestem w Albercie. Minał tydzień biegu. Jest ze 60 osób. Nie ma organizacji. Spimy w namiotach w lesie i w rezerwach. Nie ma się jak umyć. Pada ciągle deszcz, wszystko przemoczone i nie ma jak tego wysuszyć. Z jedzeniem gorzej jak w Polsce. Tu nie da się być wegetarianinem. Nie ma opieki lekarskiej. Nie ma Dennisa i Alice. Nie ma autobusów. Tesknienie z Biegiem w Europie. Tu nie ma żadnych ceremonii i tańców. Bęben tylko raz słyszałem na rozpoczęciu. Często biegnę głodny. Być może ten Bieg nie dowiezie się do Montrealu... Marie tłumaczy mi, że w Europie ludzie lubią Indian bardziej, niż tutaj. Tu nikt nie pomaga Biegowi. Wszystko jest z prywatnych kieszeni. Indianie to biedni ludzie - stwierdził Paul. A co ja mam myśleć o sobie?

Druga strona płyty to Boska Muzyka. Nie wiem, od czego mam zacząć. Podwójnej tęczy nie widzi się na codzień. Karibu skubia trawę i nie boją się samochodów. Łos przechodził spokojnie przez drogę.

Mnóstwo wodospadów i bobrowych tam. Ośnieżone stoki gór i lodowce. Pełno zieleni. Wszystko to widać podczas biegu z autostrady, a dalej w głąb lasów są jeszcze większe czary. Po prostu Canada. To przysyłania wszelkie problemy i troski. Widziałem film z "Sacred Run '90." Z Polski jest Zgorzelec, Kraków, potańcówka w skansenie i łzawe pożegnanie na granicy. Jest dobry, ale oczekiwałem olśniewającego.

Jesteśmy w Ontario, na 16 dni przed zakończeniem Biegu. Dennis dołączył do nas w Winnipeg - pełen energii i humoru. Jak dobrze go zobaczyć! Alice jest jak jego cień. Rozchorowałem się i zabrano mnie do indyjskiej babci. Stara szamanka podała mi ziola, w 3 dni było O.K. Jest już zimno, zwłaszcza poranki.

Widziałem zorzę polarną. Toż to szok. Jesień zagłada do Kanady. Kolory. Zgłosiłem swój udział do maratonu 80 km. Widziałem już trzy wersje filmu "Sacred Run Euro '90". Oglądając go tutaj i widząc Was, trudno mi określić, co czuję. Cieszę się jak dziecko, nie tęsknię.

Wczoraj Dennis ogłosił wszem i wobec, że pokrywa koszty 4 osób na następny Bieg. Dwie z nich - to ja i Ania. Przeogromna radość. Nie chcę pisać więcej, bo wiele jest jeszcze niejasności. Zatrzymując się w rezerwach, szukam miejsca przy bębnie i śpiewakach. Oczywiście, że nauczyłem się kilku pieśni. Ojibwa Nation (Czipewej) ma pieśni, w których słyszy się wiele ekspresji. To, co widziałem i słyszałem w Duchowym Obozie Mother Earth, przechodzi moją i Twoją wyobraźnię. Komuna z białymi i Indianami w większości. 100 osób, 5 tipi i drewniane domki. Codziennie pieśni, modlitwy i szalasy potu. Oczywiście, uczestniczyłem w szalasy potu prowadzonym przez Dennisa.

Będę się starał nie wracać. Życ z Biegu na Bieg. Prawdopodobnie będę gdzieś w rezerwacie. Policja indyjska jest bardzo miła, Ania ma dar szybkiego zawie-

rania znajomości z nimi. Mówi się wiele o alkoholizmie, a ja jak na razie widziałem raz grupkę zalanych Indian. W Polsce widziałem to w pierwszy wieczór po powrocie. Być może w USA jest inaczej.

Mija właśnie tydzień od zakończenia Biegu. Po wyjeździe z rezerwatu Mohawków pojechaliśmy (Dennis i 11 osób - trzy samochody) do miejscowości Casanova w stanie Nowy Jork. Wypoczywamy po Biegu, psychicznie i fizycznie, w wielkiej drewnianej willi nad jeziorem u starego przyjaciela Dennisa. Strzelamy z łuku, łowimy ryby, biegamy. Ja szyję mokasyny (ku żdziwieniu Indian).

Ostatnio ugotowałem zupełnie, jaką gotowałem w lesie. Dennis przyznał później, że ta zupa przypominała mu Europę, i że Polska była BEST. On jest chory na punkcie Biegu - tak, jak ja i ... może Ania. Ani należy się szacunek. Jak każdy ze Świętego Biegu, jest objęta pewną świętością, taką otoczką mistycznej siły. Gdziekolwiek dociera Sacred Run, wstrzymywane są wszelkie działania militarno-polityczne. "Coś" w tym jest. Ani trzeba i warto słuchać. Dlatego musi mieć poważanie. Zapomniałem powiedzieć to na Kasecie.

Wczoraj oglądałem "Tańczącego z Wilkami" - na wideo, oczywiście. Także "The Doors" - jest tam parę pięknych scenek z Floydem Westermanem. O "Synu Gwiazdy Porannej" chyba nie muszę nic pisać - załączam artykuł z "People", wyciągnięty (dosłownie) od Buffa. Tu jest taki spokój, w Nowym Jorku tego nie będzie. Boję się tam jechać, nie jestem turystą.

Fajny bajer, że ciągle podróżujemy białym vanem z napisem "Sacred Run" i czuję się tam bezpieczny, spowity duchami innych biegaczy. A byli tam wszyscy: chora Francine i szybki Taichi, kulawy Ali i 15-godzinny maratończyk Dennis French. Siła jest w nas. Tego vana wysnilem razem z Dennisem bez brody. Wszystko się sprawdziło, bo spałem wciąż z głową na północ.

Dziękuję za listy. Szalwie spaliłem w noc po maratonie 50 mil. Tej polskiej prawie już nie mam, okrucy. Kocham robić mixy szalwiowe. Wczoraj robiliśmy projekty na nalepki i plakaty na następny Bieg. Wieczorami rozmawiamy przy kominku o Biegach w Kanadzie i Europie.

Dziś w nocy był szal. I znowu siedziałem w środku razem z Dennisem. Modliłem się po polsku i śpiewałem... po indyjsku. W Kanadzie na Biegu pewnego wieczora pastor z rezerwatu spytał mnie, jak się czuję? Odpowiedziałem bez namysłu - jak Chrystus z indyjską krwią. Przyznał, że to interesujące. Dla mnie normalne. Dla Indian będę ciekawostką.

Poprzedni list pisałem w małej osadzie, ten - w hotelowym pokoju w Nowym Jorku. Tak więc wędruję szczęśliwie z córami Banksa, nim samym i resztą ekipy. Przed chwilą byłem w pokoju Dennisa. Jest tam pewna kobitka o imieniu Elizabeth. Właśnie tworzy się książka "Dennis Banks Story". Elizabeth jest z

"Święty Bieg jest zyciem nie tylko Czerwonego Człowieka. Jest to Krag Życia tych nauk, które pochodzą od Wielkiego Ducha oraz zyczenie, aby wszyscy ludzie świata mogli przybyć do tego Kręgu. Znajduje się on na Wyspie Zółwia, dlatego my, Czerwoni Ludzie, mamy wiele dobrych nauk do wymiany ze wszystkimi ludźmi, podobnie jak wszyscy ludzie mają dobre drogi do zaproponowania nam. Jakże miło było Cię spotkać. Pamiętaj nasz dobry Bieg. Mam nadzieję, że spotkamy się znów na tej samej ścieżce.

Cztery kolory ludzi są moimi kolorami.

Dla Anny z Polski - ANDREW BIG SMOKE, Beauval, Saskatchewan"

"Mam nadzieję, że zdobyłaś wiele doświadczeń na tym Biegu. Życzę wielu sukcesów Tobie i Twoim ludziom w Polsce.

Niech orły Cię unoszą i pozostaną w harmonii z naszą Matką Ziemią.

PETER LONE ELK, Oglala Sioux"

Nowego Jorku i pragnie napisać książkę o Dennisie tak, jak Barret o Geronimie. W planie jest następna książka: "Dennis Banks Spirituality". Muszę przyznać, że tę sam chciałbym napisać.

Jeszcze przed przyjazdem tu, w cichutkiej willi, rozmawiałem z Dennisem w cztery oczy. Mówiłem o sobie i innych. O polish pow-wow. Pokazałem zdjęcia. Dennis długo się zamyślił. Później zdecydował, że musi odwiedzić Polskę. Mówił zupełnie szczerze. Po Biegu '94 w Afryce. Przyjedzie w sierpniu, na cały miesiąc, z ekipa ok. 10 persons. Pragnie rozmawiać i spotkać się z ludźmi, którzy byli na trasie Sacred Run w Polsce oraz z ludźmi z PSPi. Trzeba być cierpliwym, a doczekamy tej chwili!

Oczywiście zapomniałbym pozdrowić wszystkich, których pamiętam. Bez nazwisk, żeby inni nie czuli się urażeni.

In the Spirit of Geronimo
- Jack (Full Moon Runner)

"Będzie to dla mnie zaszczytem zobaczyć Cię znów i dowiedzieć się, że nasi polscy przyjaciele są z nami! Wielkie dzięki za Twoje poświęcenie i silny charakter. Jak się macie, wszyscy nasi przyjaciele w Polsce!
Życzę Ci również szczęścia i abys miała dużo siły po powrocie do domu.

Z. uszanowaniem - ALICE LAMBERT"

"Twoja przyjaźń była nieoceniona, szczególnie w czasie gdy coś się nie udawało. Właśnie wtedy Ty i Jack byliście zawsze przy mnie. Twój humor jest moim humorem.

Megwetch - LYLE MORRISON
Sagkeeng First Nation"

"Anna, dziękuję za wzięcie udziału w SACRED RUN CANADA i Twoja pomoc. Reprezentowałaś swoich ludzi bardzo dobrze, więc powinnaś być dumna. Do zobaczenia znów, do następnego roku...

AMMON RUSSELL, Dineh"

Byłam po drugiej stronie...

Myślałam bardzo długo o tym, co mogłabym przekazać czytelnikom TAWACINU z mojego pobytu na Biegu. Nie jest to zadanie łatwe i nie jestem w stanie zrobić tego w jednym artykule. Ponieważ piszę to dzisiaj, wygląda to właśnie tak. Inaczej wyglądałoby wczoraj, a jeszcze inaczej mogłoby wyglądać jutro. Początkowo zamierzałam ograniczyć się do suchej relacji niektórych wydarzeń, ale okazało się to niemożliwe. Przepraszam więc z góry za balagan, mieszanie faktów z uczuciami, spostrzeżeń z refleksją, itp.

Nie da się również pisać o tym ani chronologicznie, ani tematycznie, ani w jakimkolwiek innym porządku. Tak był bowiem dla mnie Bieg. Były więc chwile zachwytu, ale i przerażenia. Obok zdarzeń normalnych i nudnych - zdarzenia wywołujące szok. Ludzie wspaniali obok paskudnych (nie znajduję innego określenia). Był i wypoczynek, i zmęczenie do granic wytrzymałości. Najchętniej opowiedziałabym komuś to wszystko, ale nie potrafię i musicie mi wybaczyć. Postaram się przekazać jak najwięcej - czy to w TAWACINIE, czy w rozmowach, bo wiem, że na to czekaliście.

Najgorszy był początek. Mam na myśli zarówno mój przyjazd do Kanady, jak i pierwsze dwa tygodnie Biegu. Na gorąco określaliśmy je jako "koszmar", później - z perspektywy czasu - nazwa ta zmieniła się na "chroniczne czekanie".

VANCOUVER

W porcie lotniczym miał na mnie czekać Jacek lub ktoś przez niego poinformowany. Przyleciałam, jestem maksymalnie zmęczona (14 godzin lotu), nikt na mnie nie czeka, nie mam żadnego adresu, żadnego punktu zaczepienia, nikt nic nie wie. Na zaproszeniu są dwa adresy - biuro Dennisa w Santa Fe (!) i drugi w B.C. (Kolumbii Brytyjskiej) - jak się okazuje, podobno zły. Dzwonię i ta osoba nic nie wie. Na drugi dzień rano (po nie potrafie powiedzieć jak wielu rozmowach z przypadkowymi ludźmi) odnajduję osobę z personelu lotniska, która porusza telefonicznie niebo i ziemię. Efektem jest mój dwudniowy pobyt w domu kanadyjsko-japońskiej rodziny w Vancouver. Dopiero tam można było wypocząć...

W drugim dniu mojego pobytu u nich zjawił się Taichi Akiyama (znacie go z Biegu w Polsce) i już razem dobieśliśmy do 7-osobowej grupy (w której był i Jacek), koczującej w dzień w takiej kafejce ze zdrową żywnością, a w nocy na strychu u pewnej niezbyt sympatycznej Indianki. Z grupy tej tylko ja i Big Smoke - Kri z północnego Saskatchewanu byliśmy nowi.

Pozostali brali udział w Biegu Europa '90: Owns the Sabre, Pete Lone Elk, Ammon Russell, Lee Hirsch, Matsui Toshinobu oraz Jacek. Przyjechali ze Stanów Zjednoczonych po Sun Dance. Na granicy kanadyjskiej czekał na nich Big Smoke. W tym składzie "zabijaliśmy" czas przez tydzień (pokazy ogni sztucznych, japońskie włoski, wyprawy nad Pacyfik).

POCZĄTEK

Miejsca rozpoczęcia Biegu poszukiwaliśmy przez dwie doby. Jak się okazało, było to na terytorium Saanish na wyspie Victorii. Tam zatrzymaliśmy się w dużym kompleksie szkół indiańskich (totemy, rzeźby, etc.). Miejsce to jest dla mnie bardzo ważne nie tylko ze względu na Bieg. Tam zaczęły się dla mnie wszelkie duchowe sprawy z nim związane: pierwsze "kontakty cielesne" z Pacyfikiem, pierwszy sweat lodge (szalał potu - wszystkie rundy plus fajka, co dane było tylko garście osób, bo podobno był to jeden z najmocniejszych szalaśców na Biegu) - nie zapomnę nigdy w życiu wspaniałego uczucia po tej ceremonii, pierwsza nić porozumienia z Big Smoke, który dla wielu osób był duchowym przewodnikiem.

KOLUMBIA BRYTYJSKA

Pisałam wcześniej, że najgorsze były pierwsze dwa tygodnie Biegu. W ogóle pierwszy miesiąc to totalne "bezkrólestwo". Dennis przebywał w Karolinie Płn. na planie "Ostatniego Mohikanina" i dołączył dopiero 1.09 w Portage La Prairie (Manitoba). Przed jego przybyciem było za dużo "dyrektorów". Wszyscy się starali, ale jak przyszło co do czego, to często nikt nic nie wiedział. Tak duża grupa ludzi (50-60 osób) potrzebowała jednak silnej ręki - no, może nie tak silnej, jaka czasami miał Dennis - i choćby minimum informacji.

Poza samym biegiem częste były takie obrazki: Stoimy i czekamy. Na co? Nikt nie wie. Jak długo? Nikt nie wie. Pytam w końcu, czy to ma być kwadrans, czy dwa dni, też nikt nie wie. Na początku notorycznie czekaliśmy na wszystko. Na jakimś pojeździe, bo połowa nie miała się czym zabrac (bez jedzenia, ze spakowanym bagażem, gdzieś w centrum krainy komarów). Na bagaż, ludzi, jedzenie. Czasem ponad dwie doby. W różnych warunkach, w upale 45 stopni (może więcej, ale wtedy mój organizm nie odbiera różnicy) i w nocy w górach, z zepsutym vanem, zapchanym bagażami do granic wytrzymałości.

Nie zwracaliśmy uwagi na przenikliwe zimno (w koszulkach i szortach) i deszcz, bo myśli nasze i słuch zajęte były odgłosami lasu. Okolica bezludna, królestwo niedowiedzi. Jedynie humor Owns the Sabre'a podtrzymywał nas na duchu. Zartowaliśmy już z byle czego, żeby zabić wszystkie inne uczucia. W tym czasie mała grupa (z Jackiem) koczowała trzy dni bez bagażu przy małym domku rybaków, jakieś 50 mil za nami, wystawiona na zer rekordowych komarów. Inna, większa grupa, z 50 mil przed nami, nocowała w jakimś budynku na podłodze bez śpiworów, w strojach po biegu.

Nie piszę tego, żeby narzekać, bo nawet wtedy nikt tego nie robił. Każdy zdawał sobie sprawę, po co tam jesteśmy, w jakim celu biegniemy, że to nie są wakacje i odpoczynek, ale czas modlitwy, czas uswiadniania ludziom wielu problemów Matki Ziemi i jej mieszkańców. W ich obliczu warunki, w jakich dane nam było przebywać stawały się niczym, przeciwnie - łączyły ludzi bardziej. Nie chce pisać więcej o tym okresie, bo w sumie jest on mało istotny. W każdym razie, jak słyszę "British Columbia", to mna wstrząsa.

UCZESTNICZY

Nie jestem w stanie opisać tym razem, i chyba w ogóle, całego Biegu. Nie wiem nawet, co mogłoby Was najbardziej interesować. Trudno mi jest postawić się po Waszej stronie, bo dla mnie ważne jest wszystko. Myślę jednak, że zanim przedstawię parę następnym epizodów, mogłabym poinformować Was, kto w ogóle brał udział w Biegu. Zrobię to tak, jak to robiliśmy codziennie, przedstawiając się czekającym na nas ludziom, a więc narodowościami. Przy osobach, które wielu z Was mogło poznać podczas Biegu w Polsce, podam też nazwiska, przy pozostałych - wybaczyć, ale chyba nie jest to dla Was istotne.

Biegacze europejscy: Francja - 5 osób (m.in. Catherine Jegokumar i Marie Mockers), Szwecja - 3 osoby (m.in. Asa i Norman Charles - sami-irokieskie małżeństwo), Niemcy - 2 osoby (Henry Notroff), Rosja - 2 osoby (Jewgienij Malachow), no i my - dzieci Dennisa (jak sam nas określił) - polski Apacz - Jacek i Hunkpapa (ze wszystkimi prawami podobno), są i ja. Wybaczyć mi mój humor w niektórych określeniach, ale podaję tak, jak było.

Biegacze japońscy: od początku do końca dwóch - Taichi i Nobu, po dwóch tygodniach - już trzech, a w ostatnim tygodniu - 6 (nie chodził mi o rozmazanie, ale o przyjazdy kolejnych osób).

Biegacze indiańscy: Cree - 6 osób, Squamish - 5 osób, Anishnabe (Ojibwa) - 7 osób z Kanady (m.in. Tom Wesley) i 2 z USA (Fred Morgan), Maricopa (lub Miracopa, źródła różnie podają) - 1 (Dennis French), Dineh - 1 (Ammon Russell), Dakota - 1 (Ermet Eastmann), Lakota - 5 (Pete Lone Elk, Paul Owns the Sabre oraz Tiopa, Tashina i Buffalo Banks), Onondaga - 3 osoby oraz Mohawkowie - 6 osób (2 z Oka i 4 moich wspaniałych przyjaciół z Kahnawake).

Poza tym mieliśmy i białego aborygena (jak go zresztą określił Dennis) z Kanady i 6 - z USA (m.in. Lora i Philip Kessler, Lee Hirsch). Mam nadzieję, że nic nie pokreślę, bo piszę z pamięci.

Przy okazji przedstawiania przypomnia mi się prawie codzienna sytuacja, kiedy reprezentanci poszczególnych narodowości musieli śpiewać, grać lub "produkować się" w inny sposób, aby zrobić przyjemność ludziom, którzy przygotowali dla nas jedzenie i nocleg (z reguły były to sale gimnastyczne lub miejsca pod namioty). Przedstawialiśmy się też często sami, opowiadając o sobie i swoim kraju. Ten czas, oprócz podziękowań, przeznaczałam często na daleko idącą reklamę Stowarzyszenia, pozdrowienia od ludzi w Polsce, opowiadanie o tym, co robimy, itp.

Wiele osób w rezerwach prosiło mnie o adres prezesa (ukłony w stronę Marka) lub mój. Dla wielu z nich było wprost niemożliwe, że tak wielu osobom w Polsce bliskie są sprawy Indian (ukłony w stronę wszystkich, którzy to czytacie, pozdrowienia, uściski i podziękowania). Proszono mnie nawet: "Powiedz swoim ludziom, że ich Kochamy. Jesteśmy z Wami duchowo" (Cree, Anishnabe, Mohawkowie).

JAK WYGLĄDAŁ SAM BIEG

Naprawdę bardzo różnie. Zależało to od wielu czynników: długości trasy (80 do 320 mil dziennie), pogody (temperatury od 7 do 45 stopni, nie będę opisywać wiatru prosto w twarz, czy ulewnej deszczu, jaki przypał m.in. na maraton), pojazdów (bo od nich zależało chyba najwięcej), ilości chorych (momentami rekordowe), a nie spotkaliśmy się z nikim, kto nazywałby się lekarzem) oraz od wielu, wielu innych rzeczy.

W każdym razie każdy sam decydował o tym, ile w danym dniu będzie biegi. A więc niektórzy decydowali się tylko na 5 mil, większość biegła 10, inni 15, a nawet 20 mil. Raczej nie było przypadków, aby ktoś "wysiadł" na trasie. Biegnie się tyle, na ile nastawi się psychicznie. Bardzo pomagały w tym codzienne ceremonie przed i po Biegu.

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym czekało mnie pierwsze 20 mil. Może nigdy nie zdecydowałabym się na to, ale nie miałam wyboru. Dennis zorganizował dzień dla kobiet. Było nas 14, w tym właściwie tylko 6 zdolnych do przebiegnięcia dłuższych dystansów. Mielismy przepłynąć jezioro Huron promem. Dennis zdecydował: potrzebuję 4 x 10 mil do promu i 6 x 10 mil po promie. Cztery z nas miały biec dwukrotnie. Ceremonie, jaka odbyła się o 4 rano z okazji naszego startu, Dennis powtórzył może tylko trzy razy w ciągu całego Biegu.

Nie byłam w stanie jej zapamiętać, słyszałam tylko jego pieśń kojota, czułam sweetgrass (słodką trawę) i dotyk orlich piór. Do tej pory śnią mi się czasem same orle pióra i ręce, które dają mi siłę. Później nie było już ważne, że od chwili startu zaczął padać ulewny deszcz, że moje wykonane ciąglem biegiem prawa strona nosy lewe kolano upominało się o rozsadek, że nie widziałam znaków na szosie (bo ciemno i deszcz je zmywał), że mnóstwo innych rzeczy, które - gdybym chciała - nie dałyby mi ubiec mili. Tego wszystkiego po prostu się nie czuje, to wszystko po prostu przestaje być ważne, gdy pomyśli się o porannej ceremonii, o którymś z licznych wieczorów ze śpiewkami Kri i Anishnabe (tych pieśni nie przestaje się słyszeć do końca życia), gdy widzi się oczami pamięci dziadków urodzonych przed śmiercią Geronima, którzy w życiu nie mówili po angielsku i płacze się, słuchając ich słów jak niesamowitej muzyki z niezrozumiałym tekstem, gdy widzi się po drodze samotne tipi i tysiące innych obrazków. Myśli się zresztą tylko przez pierwszą pięć mil. Dalej ciało staje się maszyną zdolną do wszystkiego, a myśli przesuwa się jak w kalejdoskopie. To wtedy właśnie układały mi się w głowie wspaniałe listy do Marka, które chciałam, aby wam ode mnie przekazał. Niestety, każda późniejsza próba przelania ich na papier kończyła się fiaskiem, jedynym uczuciem, jakie mi pozostawało, była bezzilność, że nie jestem w stanie tego zrobić.

KAHNAWAKE

Nazwa ta od początku Biegu wywoływała w nas chyba największe uczucie. Dlatego już od rana w dniu, w którym mieliśmy przebyć ostatni odcinek trasy, czuliśmy się trochę inaczej, niż zawsze. Było to z jednej strony oczekiwanie na te uroczyste chwile, a z drugiej pragnienie, aby czas upływał wolniej. Nie wierzyliśmy tak całkiem, że ten tak ważny rozdział naszego życia właśnie dobiega końca. Dzień ten rozpoczęliśmy w Kanasata-miejscu, gdzie rok wcześniej zaczął się konflikt Mohawków z Kanadyjczykami, i gdzie skończył się nasz maraton. Mała grupa (ok. 12 osób) biegła ok. 5 mil do promu w Oka na rzece Sw. Wawrzyńca. Do Montrealu dojechalismy, później był Most Merciera. Mówię wam - imponujący. Są to właściwie dwa mosty - każdy z nich dla innego kierunku jazdy, obydwa mają po trzy pasma ruchu. Samochody jada bez przerwy, można stracić nadzieję, że jest możliwe przerwanie tej rzeki pojazdów.

Czekaliśmy prawie trzy godziny, nim policji udało się zwoinic dla nas jeden pas. Tylko przenikliwe zimno (nie wiem, ile było stopni, ale dla mnie graniczyło z przymrozkiem) pozwalało ukryć dreszcz podniecenia. Każdy chciał wiedzieć, co jest za tym mostem, co tam nas czeka. Nawet Mohawkowie czuli się nieswojo. Czyżby ich misja dobiegła końca? Radość pomieszana z zalem. To był pierwszy tak wolny bieg. Dennis włączył do grupy biegaczy jakąś dziewczynę z Kahnawake, która nie miała siły biec. Dzięki temu ten ostatni bieg trwał dłużej i bez względu na wszystko był wspaniałym.

Nie sadzę, abym dała radę opisać różny emocjonalnej atmosfery biegu - temperatura naszych uczuć rosła z każdym krokiem. Już sam początek - na moście - kiedy na każdy gest przyjaźni mijających nas kierowców odpowiadaliśmy radośnymi okrzykami, przechodzącymi w wycie. Staffy (święte pałeczki biegaczy) unosiły się w górę, niektórzy przez dłuższy czas w ogóle ich nie opuszczali. Dźwięk bębna wywoływał pozytywne wibracje, ścisaliśmy sobie nawzajem dłonie, krzyczeliśmy jak bardzo się kochamy.

Za mostem czekali Mohawkowie. To niesamowite, jak wielu ludzi - po raz pierwszy tyłu. Liczba mieszkańców Kahnawake wynosi ok. 7 tysięcy. Mieliśmy wrażenie, że wyszli wszyscy. Sznury samochodów wzdłuż całej trasy od mostu (ok. 5 mil). Muzyka klaksonów, bliski lamp aparatów fotograficznych, niektórzy podbiegali, aby nas dotknąć, uściskać dłonie, podziękować.

Kiedy myśleliśmy, że nic więcej nie może nas bardziej wzruszyć, zobaczyliśmy wiadukt. Mieliśmy przebiec przez długi tunel pod wiaduktem. W miarę zbliżania się do niego przecierałam oczy ze zdumienia (a przynajmniej mam wrażenie, że musiałam to zrobić). Zobaczyłam obrazek, jaki często miałam okazję oglądać w książkach, prasie i innych dokumentach, mówiących o zesłorocznym zająciach zbrojnych w Kahnawake. Na wiaduku stało czterech Mohawków w typowo bojowych postawach, w strojach partyzanckich. Nie mogliśmy się zatrzymać. Nasze uczucia znalazły ujście w tunelu, który o mało nie legł w gruzach od decybeli.

Po biegu, choć nie było to jeszcze pozegnanie (mieliśmy być jeszcze dwa - trzy dni razem), w miejscu tradycyjnych gratulacji i uścisków rak, ludzie rzucali się na siebie i długo trwali w tych objęciach, aby ukryć łzy. Nie jest to żadnym wśdydem, bo płakali prawie wszyscy, a ci, co usiłowali powstrzymać łzy, wyglądali jeszcze gorzej.

Pisać o Kahnawake nie sposób mi nie wspomnieć o moich przyjaciółkach. Od pięć wszego wieczoru zamieszkałam w domu dziewczyny, która jest najwspanialszą osobą, którą poznałam nie tylko na Biegu, ale w ogóle w życiu. Felicia Diabo (tak się nazywa) zaprosiła mnie do siebie już w połowie Biegu. Nie tylko mnie. Zebrało się tam towarzystwo Squamish - Mohawk, plus ja i Nobu. Była to liczna grupa i może dlatego było tak fajnie. Jeden z wieczorów (a raczej nocy, bo zaczęliśmy o 0.00) - po uroczystościach zakończenia Biegu - spędziliśmy na kilkugodzinnej jeździe Jeepem po Kahnawake, wielokrotnie powtarzając trasę biegu i okrzyki. Nie muszę dodawać, co się działo, ilekroć przejeżdżaliśmy przez tunel.

Słowo "Kahnawake" w tej chwili kojarzy mi się przede wszystkim z widokiem tablicy informacyjnej przy szosie (typu: ile kilometrów jest do danej miejscowości). Tam napis został zupełnie zatarty, a na tym tle ktoś wypisał białą farbą dużymi literami: "WE'LL REMEMBER".

Wybaczcie, że nie zrobiłam zdjęcia tego miejsca, chociaż przez cały czas miałam taki zamiar. Objęciu zrobić to przy pierwszej okazji.

Anna Peichert

Poznaliśmy go w lipcu 1991 r. na Europejskim Spotkaniu w Stadrodzie. Przedstawiła nas Angela Warsitz, znana berlińska działaczka na rzecz Indian i nasza serdeczna przyjaciółka. Okazało się, że Bobby jest Apaczem Chiricahua, mieszka w San Francisco i jest jednym z koordynatorów Międzynarodowej Rady Indian Traktatów (IITC) - skupiającej 99 plemion tzw. organizację pozarządowej reprezentującej Indian m.in. w ONZ.

Bobby jest też członkiem Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) i działaczem Komitetu Obrony Leonarda Peltiera, uwięzionego od 15 lat przywódcy AIM. Współpracuje ponadto z Koalicją Przetrawiania Apaczów, walczącą o wstrzymanie budowy obserwatorium astronomicznego na Mt. Graham, świętej górze Apaczów.

Jako reprezentant tych organizacji Bobby planował na jesień informacyjną podróż po Europie. Ponieważ organizować ją miała Angela, szybko ustaliliśmy, że pierwszym jej etapem będzie Polska.

W czwartek, 17 października Bobby Castillo i Angela Warsitz przyjechali pociągiem z Berlina do Warszawy. Po spotkaniu z koordynującym przygotowaniem do ich wizyty Romkiem Bała ustalono, że będą korzystać z mieszkania i samochodu gościnnej Grażyny Syrowackiej. W piątek Bobby wygłosił prelekcję w pełnej sali Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i otrzymał tam ciekawą kopiami wszystkich polskich publikacji na temat Leonarda Peltiera. Następnie wziął udział w nadawanej na żywo audycji Radia "S" i udzielił wywiadu dla "Gazety Wyborczej". Zwiedził też Zamek Królewski i warszawska Starówkę. "Macie tak wiele pięknych kościołów, w Polsce i całej Europie" - powiedział później. "Apacze mają tylko jedną świątynię - górę Graham - i robią wszystko w jej obronie."

Przez cały czas, nawet zmęczeniu, goście pozostawali do dyspozycji licznego grona sympatyków i adoratorów. Sporym gości sobotnią podróż pociągiem do Chodzieży, gdzie w niedzielę, 20 października, spotkali się z kilkudziesięciuosobową grupą młodych przyjaciół Indian.

Pierwszą część długiego spotkania w Chodzieżskim Domu Kultury wypełniła, podobnie jak w Warszawie, prelekcja poświęcona trzem podstawowym sprawom:

- historii kolonizacji Ameryki i stosunków Indian do oficjalnych obchodów 500-lecia ("Z punktu widzenia Indian Krzysztof Kolumb, Jerzy Waszyngton i George Bush to awanturnicy, którzy dla władzy, pieniędzy i sławy gotowi są na wszystko, nie licząc się z ludźmi.")

- przypomnieniu sprawy Leonarda Peltiera, ukazaniu jej podstawowego znaczenia dla walki Indian i roli międzynarodowej opinii publicznej w działaniach na rzecz jego uwolnienia ("To listy z Polski i innych krajów sprawiają, że nie tracimy z Leonardem nadziei, że rok 1992 przyniesie Indianom sprawiedliwość.")

- omówieniu unikalnego miejsca góry Graham w życiu religijnym i społecznym tradycyjnych Apaczów oraz sposobów zapobieżenia jej zniszczeniu ("Jeśli nie będzie innego wyjścia, nie zawahamy się wysadzić teleskopu. Ale jeśli np. pewnego dnia katolicy w Polsce nie pójdą do Kościoła, bo Watykan pozbawia Apaczów ich świątyni, to nie będziemy musieli postępować niezgodnie z prawem.")

Druga część spotkania - po obiedzie u zapewniających noclegi i transport dla gości nieocenionych Anki i Marka Kabałów - miała charakter bardziej nieformalny i przyjacielski. Były pytania i uwagi do podarowanych PSPi filmów dokumentalnych (życie w Pine Ridge, sprawa Peltiera, problemy Nawahów i tubylczych Hawajczyków), indyjskie pieśni i polskie tańce, zdjęcia, wymiana pamiątek i adresów oraz trwające do późnego wieczora rozmowy.

Następnego ranka goście powrócili do Berlina, skąd mieli wyruszyć na dalsze spotkania w Niemczech, Szwajcarii, Włoszech i Francji. Nie wiemy jeszcze, jak wypadliśmy w tym towarzystwie, ale jesteśmy dobrej myśli. W kartce, wysłanej z Warszawy do syna, Guathemoca, Bobby napisał m.in.: "Leonard jest tu dobrze znany. To cudowne, jak wielkie mamy tu poparcie. Wczoraj czułem się jak THE BEATLES - śpiewy, autografy. Ludzie są wspaniali. Gdyby wszyscy biali Amerykanie byli tacy..." No cóż, gość miewał skłonność do sugestywnych uproszczeń...

Liczymy więc na dalsze informacje od Bobby'ego i Angeli. Czekamy też na wrażenia i uwagi uczestników spotkań z nimi w Warszawie i Chodzieży. Przed nami prawdopodobnie kolejne wizyty...

Marek Nowocien

Wiesław Kołeczek

TRADYCYJNE WARTOŚCI
KONTRA
WIELKIE PIENIĄDZE

Z inicjatywy Romana Bali, 3 listopada br. odbyło się w Warszawie spotkanie polskich przyjaciół Indian z panią Andreeą Axt i jej mężem. Pani Axt jest Polką pracującą od piętnastu lat w rezerwacie Akwesasne. Goście mówili o skomplikowanej sytuacji, w jakiej znaleźli się Mohawkowie. Oto co wynika z ich wyjaśnień.

O północy 24 kwietnia 1990 roku, w amerykańskiej części rezerwatu Akwesasne, Mohawkowie z tzw. "Stowarzyszenia Wojowników" otworzyli ogień do znajdujących się na barykadach swoich współplemieńców "tradycjonalistów" (pani Andrea była tam obecna jako "neutralny obserwator", choć jej sympatia była po stronie tradycjonalistów).

Co spowodowało ten bratobójczy konflikt? Otóż barykady wzniesione przez tradycjonalistów miały utrudnić ludziom spoza rezerwatu dojazd do kasyn gry. Nie było to na rękę Wojownikom, a szczególnie ich przywódcy, którzy czerpali spore korzyści z kasyn (mówi się, że za tym wszystkim stoi mafia z zewnątrz). Argumentem przemawiającym za budową kasyn miał być dochód, z którego korzystałaby cała społeczność rezerwatu. Miała to być również szansa na uzyskanie ekonomicznej niezależności, co jest niezbędne do samostanowienia każdego narodu. Szybko jednak okazało się, że na kasynach bogaciła się tylko elita Wojowników, a większość społeczności pozostawała nadal w biedzie.

Konflikt rozpoczął się już w latach 80-tych kiedy to tradycjonalisci próbowali powstrzymać budowę salonu Bingo i przemyt papierosów, którym trudnili się i trudnią nadal Wojownicy. Sporą ich część stanowi bezrobotna młodzież, uzależniona od narkotyków i alkoholu dostarczanych im przez przywódców. Broniąc swych interesów, Wojownicy nie przebierali w środkach. Nie uszanowali nawet tradycyjnego wodza Toma Portera, któremu spalili dom.

Kiedy latem 1990 r. wzniesiono w Kanęsatake barykady w proteście prze-

ciwko rozszerzeniu pól golfowych na tereny Mohawków, również i tam pojawił się Wojownicy. Większość ludzi zamierzała przeprowadzić ten protest bez użycia broni, lecz znalazła się pod "okupacją" Wojowników, stanowiących mniejszość i określających się jako zbrojne ramię Narodu Mohawków. Tradycjonalisci twierdzą jednak, że bronią tylko własnych brudnych interesów i dążą do przejęcia kontroli w rezerwacie.

Jakimi możliwościami dysponują obie strony?

Wojownicy mają pieniądze i sposobność umieszczania swoich kandydatów we władzach plemiennych drogą głosowania. Tradycjonalisci nie mają ani pieniędzy, ani nie biorą udziału w wyborach do władz, gdyż uważają, że taki system wyborów, narzucony przez białych, nie jest ich systemem. Dla nich wodzami są ludzie mianowani w sposób tradycyjny przez Matki Klanu. Liderzy Wojowników jeżdżą po Europie szukając poparcia, wodzowie tradycjonalistów m.in. Jake Swamp i Tom Porter, wierzą w zwycięstwo prawdy...

Barykady zniknęły, kasyna zamknięto (czynny jest tylko salon Bingo) jednak społeczność Mohawków jest nadal podzielona. Tradycyjne wartości nie potrafiły oprzeć się materialistycznej filozofii przybyłej zza oceanu.

Tradycyjni wodzowie rozważają możliwość opuszczenia rezerwatu z grupą swoich zwolenników i osiedlenia się w innym miejscu. Byłaby to szansa oddalenia się poza zasięg karabinów Wojowników i być może znalezienia miejsca nie zatrutego tak bardzo jak Akwesasne. (Tom Porter, który zajmuje się rolnictwem, mówi, że nie jest już w stanie wyliczyć chemikalii, jakie zjada). Lecz czy uda im się rozwiązać problem biedy, która skłoniła wielu młodych do wstąpienia w szeregi Wojowników?



Do redakcji czasopism, wydawanych przez Indian i ich sympatyków na świecie, napływają często pytania o adresy indiańskich plemion, organizacji, szkół, muzeów, znanych postaci itp., z którymi osoby zainteresowane Indianami chciałyby nawiązać kontakt. Również i my spotykamy się z podobnymi pytaniami. Dlatego, obok adresów miłośników Indian w Polsce, zamierzamy drukować także adresy osób i instytucji z innych krajów, do których można - we własnym imieniu i na własne ryzyko - zwrócić się ze swoimi pytaniami, wątpliwościami, propozycjami korespondencji. Proszę jednak nie zapominać, że z reguły nie będziecie jedynymi którzy liczą na odpowiedź, że nie będą to źródła bezpłatnych książek i czasopism, i że każdy - nawet najbardziej - za otrzymane "materiały" może odwdziżyć się na wiele sposobów. Nie na każdy list otrzymacie odpowiedź, czasami - będzie to tylko cennik lub zdawkowe podziękowanie. Na miłą niespodziankę trzeba jednak zwykle założyć - cierpliwością, pomysłowością i - to podstawa - znajomością języków. Oczywiście, czekamy na informacje o Waszych sukcesach i porażkach...

INDIAŃSKIE SZKOŁY W USA

Za "AKWESASNE NOTES" Vol.22 No.5 przedrukujemy listę kontrolowanych przez rady plemienne indiańskich szkół średnich w USA, do których można się zwrócić korespondencyjnie z prośbą o informacje o Indianach:

Bay Mills Community College
Ms. Martha McLeod, President
Rt. 1
Brimley, Michigan 49715

Fort Belknap Community College
Ms. Margaret Perez, President
P.O. Box 547
Harlem Montana 59526

Blackfeet Community College
Mr. Gordon Belcourt, President
P.O. Box 819
Browning, Montana 59417

Fort Peck Community College
Dr. James Shanley, President
P.O. Box 575
Poplar, Montana 59255

Cheyenne River Community College
P.O. Box 220
Eagle Butte. South Dakota 57625

Lac Courte Oreilles Community C.
Dr. Jasjit Minhas, President
R.R. 2, Box 2357
Hayward, Wisconsin 54843

Dull Knife Memorial College
Dr. Art McDonald, President
P.O. Box 98
Lame Deer, Montana 59043

Fond Du Lac Community College
Dr. Jack Briggs, President
105 University Road
Cloquet, Minnesota 55720

Crownpoint Institute of Technology
Mr. James Tutt, President
P.O. Box Drawer K
Crownpoint, New Mexico 87313

D-Q University
Mr. Carlos Cordero, President
P.O. Box 409
Davis, California 95617

Little Big Horn College
Ms. Janine Pease-Windy Roy, President
P.O. Box 370
Crow Agency, Montana 59022

Fort Berthold College
Ms. Phyllis Howard, President
P.O. Box 490
New Town, North Dakota 58763

Z REDAKCYJNEJ POCZTY...

Przed tygodniem otrzymałem numer 16 TAWACINU, za który serdecznie dziękuję.

Bez wątplenia najpoważniejszym artykułem jest tekst Ewy Nowickiej o etycznej treści ruchów religijnych, chociaż prezentowane w nim treści są znane z innych opracowań tej autorki. Natomiast najsłabszym jest artykuł pt. "Legenda ozywaja" P. Terleckiego, a już zupełnie niepotrzebna i nie mówiąca nic nowego jest relacja Romana Bali pt. "Mohawkowie". Po jej przeczytaniu zupełnie nie wiem, po co Roman spotkał się w Berlinie z Mohawkami z Kahnawake (miały tam miejsce dramatyczne wydarzenia, ale o tym ani słowa w tekście). Owszem, uważny czytelnik kilku ostatnich numerów TAWACINU zna sytuację Mohawków kanadyjskich, ale jeżeli ktoś po raz pierwszy styka się z tym pismem, to nie wie nic.

Do dobrych artykułów zaliczyłbym także, zarówno od strony informacyjnej, jak i aktualności, teksty o Indianach kanadyjskich i stosunku do nich białych mieszkanców Kanady, oraz tekst o Wojownikach R.A. Warriora, a do zupełnie słabych - "Sztukę Indian Ameryki Północnej" Ch. F. Feesta i "Wieczne tipi - wieczni ludzie" G.P. Horse'a Capture'a, które w zasadzie nie odkrywają dla przeciętnego czytelnika nic nowego.

Zamieszczone utwory literackie są mi znane, już je gdzieś czytałem. Spodziewałem się czegoś nowego, przekładów tekstów jeszcze nie publikowanych w Polsce. Gwoli prawdy dodam, że z wielką uwagą zapoznałem się z krytyczną analizą przekładu "Tańczącego z wilkami" M. Blake'a na język polski. Sądzę, że jak najszybciej winna ona trafić do wydawnictwa "Aramis" (lub fachowej prasy literackiej) i wszystkich przestrzec przed takim tłumaczem jak Wojciech Surman, a jego samego prosić o zaniechanie przekładu książek, do których nie jest fachowo przygotowany, lub o skontaktowanie się uprzednio z TAWACINEM.

Najsmakowitszym kaskiem jest tekst "Paunisi" D. J. Wishorta, a zwłaszcza wesoły wstęp Aleksandra Wojciecha Sudaka zwanego "Czejenem". Nie mam pretensji do tego, że przełożył tekst nieznanego autora zamieszczony w nieznanym wydawnictwie (można było przecież sięgnąć po coś z Hyde'a, Ginnella, Dorseya, czy też

Lintona), ale o to, że pisze po prostu nieprawdę. Tak się złożyło; że znam bardzo dobrze twórczość Waldemara Łysiaka i małżonków Halików, mniej Fiedlerów (może poza ojcem), ale konia z rzędem temu, kto wskaże mi dzieło wymienionych autorów, w którym wyrażają się o Paunisach jako "przekupnych", "zaprzędanych", czy też "zdrajcach własnej rasy". Takie sformułowania w ustach naszego tłumacza są równie fałszywe jak stwierdzenie, że "byli oni (Paunisi - JT) jednym z najszlachetniejszych, najwaleczniejszych narodów indiańskich, jakie zamieszkiwały Środkowe Równiny".

Dalej czytamy o znakomitym historyku Dee Brownie, autorze "nędznej, tendencyjnej FOCHOWAJ ME SERCE W WOUNDED KNEE". Coś tu nie gra, znakomity historyk i nędzna tendencyjna książka! Być może chodzi o to, że została napisana z punktu widzenia Indian, i jeśli tak, to... czekamy na nowe rewelacje.

I już na zakończenie kilka propozycji do następnych numerów TAWACINU. Chętnie bym widział artykuły poruszające sprawy duchowe (można sięgnąć po klasykę, np. "Wielkiemu Wężowi..." J. M. Arguedasa, czy też wspaniałe teksty z MANY SMOKES lub AKWESASNE NOTES, znane mało lub wcale młodym ludziom, którzy zasila kiedyś nasze szeregi). Proszę o więcej tekstów o Indianach Ameryki Południowej, gdzie dzieją się niejednokrotnie rzeczy przerażające i krwawe, które w Ameryce Północnej często należą już do przeszłości. Prosiłbym dalej o więcej tekstów autorskich, rozmowa z członkami "Sun Ergos" to jest to, ale chętnie bym przeczytał wspomnienia uczestników tegorocznych biegów: kanadyjskiego i euroazjatyckiego, czy też relację ze spotkania z członkami zespołu "Great American Indian Dancers" na tegorocznym "Vratislavia Cantans". Brakuje mi stałych rubryk, czy też działów, jak: redakcyjna poczta, nowości wydawnicze, filmowe (kino, wideo), muzyczne (np. kasety audio), czy też informacji typu: poszukuję, zamienię, wypożyczę, nagram za opłatą, itp.

Proponuję też zamieszczać biogramy sławnych Indian, zarówno żyjących, jak i postaci historycznych, i - to nie żart - zasłużonych polskich "Indianistów" oraz naukowców zajmujących się Indianami.

Jerzy Tolłoczko, Białystok

Z REDAKCYJNEJ POCZTY...

Redakcja zwróciła się do autora wstępu i przekładu tekstu o Paunisach z prośbą o odpowiedź na zarzuty z listu Pana Jerzego Tolłoczki.

Aby poczynić jakies uwagi, czy wysunąć zastrzeżenia wobec danego tekstu, trzeba go najpierw dokładnie przeczytać. J. Tolłoczko trudu tego sobie nie zadał.

Po pierwsze, wcale nie napisałem, że Halikowie, czy Łysiak nazwali Paunisów "przekupnymi", "zaprzędanymi", czy też "zdrajcami własnej rasy". Napisałem, że nazywają ich tak pseudonaukowy pokroju Fiedlerów, Łysiaka, czy Halików, a to jest chyba zasadnicza różnica. Takim pseudonauwca może być Ernie Hearting, może nim być Waldemar Łysiak. Epitety pod adresem Paunisów pochodzą z tłumaczonej na nasz język książki Dee Browna POCHOWAJ ME SERCE W WOUNDED KNEE.

Jerzy Tolłoczko zarzuca mi niekonsekwencję, gdy piszę, że tak znakomity historyk, jak Dee Brown, jest autorem tak nędznej i tendencyjnej książki. Czyżby nie wiedział, że można być wielkim znawcą tematu, a pisać, czy wypowiadać, rzeczy zupełnie nie do przyjęcia? Ze Dee Brown jest historykiem wybitnym, świadcza choćby Donald J. Berthrong i Robert M. Utley, którzy nie darzą go osobiście zbytnią sympatią. Jego FORT PHIL KEARNY; AN AMERICAN SAGA stanowi jedna z podstawowych pozycji do znajomości dziejów wojen indiańskich, prowadzonych na zachód od Mississipi. Fachowiec tej klasy nie powinien sobie pozwolić na napisanie czegoś w rodzaju POCHOWAJ ME SERCE... Moje zastrzeżenia wobec tej książki biorą się nie z faktu (co sugeruje J. Tolłoczko), że została napisana z indiańskiego punktu widzenia, ale dlatego, że napisana jest tendencyjnie i roi się w niej od sprzeczności, co mogę łatwo wykazać.

Dalej J. Tolłoczko pisze, iż nieprawda jest, jakoby Paunisi byli jednym z najszlachetniejszych i najwaleczniejszych narodów indiańskich ze Środkowych Równin. Dlaczego w takim razie kaze mi sięgać do Hyde'a, Grinnella, Dorseya, czy też Lintona (dlaczego w tym gronie umieścił akurat Lintona, który - o ile wiem - nie poświęcił żadnej ze swych prac monografii określonego plemienia, to już jest jego tajemnica)? Wymieniając

tych autorów daje do zrozumienia, że czytał ich publikacje. Jeśli tak, to wiele z nich nie skorzystał. Ludzie ci przyznają przecież Paunisom prawdziwą wielkość. Pisze o tym wprost George B. Grinnell, który spędził wraz z nimi dwadzieścia lat.

Wydaje mi się, że wielkość narodu mierzymy m.in. jego kultura, liczebnością i rolą, jaka mu przyszło odegrać w swej epoce. Ze Paunisom nie można w tej mierze nic zarzucić, widać to z przetłumaczonego przeze mnie artykułu "nieznanego autora, zamieszczonego w nieznanym wydawnictwie". W Stanach Zjednoczonych jest wielu autorów i wiele wydawnictw, o których my tutaj nic nie wiemy i prędko wiedzieć nie będziemy. David J. Wishart jest pisarzem z pewnością nam nieznanym, lecz musi być kimś, gdyż współpracuje z NEBRASKALAND MAGAZINE, wydawnictwem znanym nie tylko w Nebrasce (kraju niewiele mniejszym od Polski), ale i w całym Stanach Zjednoczonych. Wydawnictwu temu uczęszczają swego pióra tacy fachowcy, jak Donald J. Berthrong, Vine Deloria Jr., Raymond J. DeMallie, Thomas W. Dunlap, czy Joseph C. Porter, więc to, że jeden z ich kolegów jest dla nas kimś obcym chyba niczego nie przesadza.

Aleksander Sudak, Kościerzyna

OD REDAKCJI: Jak każda redakcja, zastępcy sobie prawo wyboru materiałów i skracania korespondencji. Dlatego w listach obu Panów pominięliśmy fragmenty o charakterze osobistym, nie dotyczące Indian i nie licujące ze stylem pisma, które w tytule ma słowo PRZYJAZN. Tej zasadzie zamierzamy być wierni.

Wszystkich prosimy o wzięcie pod uwagę naszych ograniczonych możliwości odnośnie ilości i jakości publikowanych informacji (np. o Mohawkach pisaliśmy w ostatnich numerach sporo, a spotkanie z członkami nowej europejskiej "ambasady" Mohawków w Hadze uznaliśmy za wartę odnotowania). Często brak nam możliwości, by o wszystkim napisać szybko i wyczerpująco (stad tym razem krótka tylko wzmianka o wizycie Bobby'ego Castillo i brak materiałów z Ameryki Południowej).

Osobom zainteresowanym szczegółami sygnalizowanych krótko w TAWACINIE spraw chętnie udostępniamy wszelkie posiadane materiały (dokumenty, kasety, itp.), lub wskazujemy inne ich źródła.

**AMERYKA INDIAŃSKA - KULTURA MATERJALNA
W ZARYSIE - relacja z wystawy.**

W dniach od 16 września do 15 grudnia 1991 r. można było zwiedzać w Muzeum Regionalnym w Wolsztynie (woj. zielonogórskie) wystawę **AMERYKA INDIAŃSKA - KULTURA MATERJALNA W ZARYSIE**.

Zorganizowanie jej zaproponowano nam w ramach odbywanych praktyk muzealnych. Mieliśmy zaledwie siedem dni na pełną organizację, nie licząc już tych, które musieliśmy poświęcić na dojazd do Toporowa i Pieniężna po część eksponatów.

Pokazaliśmy zaledwie wąski wycinek tubylczych kultur amerykańskich. W trzech salach zgromadzono to, co najbardziej charakteryzuje poszczególne regiony obu Ameryk.

W "sali północnoamerykańskiej" oprócz najbardziej charakterystycznych elementów takich jak: mokasyny, bębny, strój Indian preryjnych umieściliśmy także makietę wioski z tipi, Świętą Pałeczkę Biegową, magiczny rysunek Nawaho sypany z piasku, symbolikę z Północno-Zachodniego Wybrzeża i tablicę ze zróżnicowaniem budownictwa północnoamerykańskiego.

Wszystkie eksponaty w "sali południowoamerykańskiej" zostały wypożyczone z innych muzeów. Znalazły się tam m.in. biżuteria z owoców, nakrycie głowy szamana Jibaro, stroje andyjskie,

DO WSZYSTKICH, KTÓRYCH TO MOŻE DOTYCZYĆ

Muzeum Niepodległości w Warszawie zaproponowało Polskiemu Stowarzyszeniu Przyjaciół Indian zorganizowanie wystawy z okazji 500-lecia. Proponowane tytuły wystawy to: *500 lat Podboju Ludów Tubylczych Ameryki* lub *Walka Indian o Niepodległość i Zachowanie Tożsamości Kulturowej*.

Wystawa obejmowałaby eksponaty typu książki, gazety, mapy, fotografie, plakaty, grafikę, malarstwo itp. Oczywiście mogą to być również kopie. Przedmioty kultury materialnej przewidziane są raczej jako element scenografii, ale można zdecydować inaczej. Prosimy o nadsyłanie spisów posiadanych materiałów oraz wszelkie propozycje i ra-

naczynia z tykwy, flety, broń rejonu dżungli. W obu salach wisiały tablice z zaznaczonymi regionami kulturowymi.

W trzeciej sali, w ramach wystawki *Indianie i Indianiści - przegląd wydawnictw* zaprezentowaliśmy - wśród pism i przewodników otrzymanych od Indian Nawaho i Pueblo - wydawnictwa poświęcone Świętemu Biegowi, Deklarację Pokoju Indian Hopi, publikacje Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian.

Wolsztyńska wystawa zainicjowała cykl imprez związanych z 500-leciem Spotkania Dwoh Światów, które odbędą się w pierwszej połowie 1992 r. w Poznaniu.

Korzystając z okazji, pragniemy podziękować tym wszystkim, którzy przyczynili się do powstania wystawy i okazali pomoc: Muzeum Etnograficznemu z Poznania, Misyjnemu Muzeum Etnograficznemu Księży Werbistów z Pieniężna, a także Darkowi Jakubiakowi z Niedźwiedzia, Darkowi Smółowi, Tomkowi Juszkiewiczowi, Adamowi i Sławkowi Wawrzyńniakom, Agnieszce i Marcinowi Lewandowiczom i Maciejowi Kosmałskiemu (wszyscy z Poznania) oraz Piotrowi Potworowskiemu i p. Andrzejowi Pawelskiemu z Wolsztyna.

Dorota Drozdowska
Krzysztof M. Mączkowski

dy. Chcielibyśmy się bowiem zorientować, czym dysponujemy aby móc określić ostateczny kształt wystawy i potrzebną do ekspozycji powierzchnię. Do dyspozycji mamy kilka sal o pow. 70 m² każda ale chodzi o to, aby zapewnić przynajmniej jedną, żeby zostawić jakiś ślad naszej działalności z tej okazji. W czasie trwania wystawy (październik, listopad) istnieje możliwość organizowania wszelkiego rodzaju imprez towarzyszących.

Osoby zainteresowane prosimy o jak najszybsze skontaktowanie się z:

ROMAN BAŁA
IWANOWICE DUŻE 95
42-152 OPATÓW CZĘSTOCHOWSKI

Sprawa bardzo pilna! Dziękujemy!



W 1992 r. planujemy wydać 4 numery **TAWACINU** (co kwartał). Jeden egzemplarz kosztuje 7.000 zł. Aby otrzymać kolejne **TAWACINY** należy zapłacić za nie z góry Pieniądze prosimy wysłać przekazem pocztowym pod adresem:

MAREK DŁUGOSZ
UL. LEŚNA 6
60-233 TOPORÓW

Zachęcamy do składania zamówień grupowych. Za każde opłacone 5 egz. tego samego numeru, dodajemy 1 egz. gratis.

Członkowie **PSPI**, którzy opłacili bieżące składki otrzymują **TAWACIN** bezpłatnie.

Istnieje możliwość zamówienia poprzednich numerów. Ze względu na zmienną ilość stron, ich cena jest różna:
Numery 4,5,7 i 11 kosztują 5.000 zł.
Numery 8,9,12,13 i 14 - 6.000,-
Numery 1,2,3,6,10 i 15 - 8.000,-
Komplet 15 numerów **TAWACINU** kosztuje 83.000 zł.

- Proponujemy też następujące tematyczne zeszyty z serii "Biblioteki Tawacinu":
- Nr 1. Łuki, strzały i kołczany - 6.000
 - Nr 2. Symbole Indian Arapaho - 5.000
 - Nr 3. Dino i Gary Butlerowie. Historia walki o poszanowanie życia 8.000
 - Nr 4. Robert A. Swanson: Łamiąc stereotypy (poezja) - 6.000
 - Nr 5. Naród Dakota - podział plemienia - 5.000
 - Nr 7. Lance Henson: Krające wspomnienie (poezja) - 6.000
 - Nr 10. Mokasyny Indian Ameryki Północnej (wykroje) - 5.000
 - Nr 12. Mależymy do Ziemi. Ziemia nie należy do nas (wybór tekstów duchowych) - 8.000
 - Nr 13. Marek Nowocień: Narodziny Red Power. Historia odrodzenia Indian w Stanach Zjednoczonych - 6.000
 - Nr 14. Pieśni Siuksów (słowa + nuty) - 5.000
 - Nr 15. Zielony śpiew Ziemi. Antologia poezji członków **PRPI** - 5.000
 - Nr 16. Clark Wissler: Sztuka dekoracyjna Siuksów - 12.000

OGŁOSZENIA

- Nr 17. Karoniaktatie: Krajobraz. Wiersze stare i nowe - 5.000
- Nr 18. Z misyl w Górach Skalistych Północnej Ameryki (o Czarnych Stopach, relacja z 1900 r.) - 12.000
- Nr 19. Stwórca stworzył świat... Przyjdź i zobacz go. (Indianie i Przyroda, modlitwy) - 4.000
- Nr 20. Nie prosimy o nic niezwykłego. (Życie i twórczość Ohiyesy - Ch. A. Eastmana) - 5.000
- Nr 21. B. D. Madsen: Bannokowie z Idaho (opis plemienia) - 5.000
- Nr 22. Święty Bieg - Europa 1990 (kalendarium, relacje, prasa, fotografie, mapy) - 10.000

Ponadto dysponujemy dużą ilością nagrań tradycyjnej muzyki indiańskiej z różnych regionów Ameryki Północnej. Kasety może udostępnić Wiesław Karnabal, Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie.

Możemy też ułatwić zakup antologii materiałów źródłowych i dokumentów "Indianie Stanów Zjednoczonych" oprac. Ewa Nowicka i Izabella Rusinowa. Koszt prze syłki ok. 60.000. Kontakt: Marek Długosz

